

[illegible]

BEZPŁATNY KWARTALNIK

**JESIEŃ
2026**





**Bądź
EKO
z apką
KOM-EKO**



POBIERZ
Google Play



POBIERZ w
App Store



**POBIERZ
BEZPŁATNIE**

**UŁATWIA
GOSPODARKE
ODPADAMI**

www.ekoapp.com.pl

Szanowni Czytelnicy!

Na skrzydłach nostalgii, w ostatnich porywach wrzeźniowego słońca, mglistych porankach października, w „mokrych cieniach listopada” zawitała do nas jesień. I choć zwykle staramy się patrzeć na otaczającą nas rzeczywistość trzeźwo i rzeczowo – czego wyrazem są choćby zamieszczone w tym numerze EKOgadki teksty o rozporządzeniu PPWR, systemie kaucyjnym czy nowych typach opakowań – to na łamach naszego kwartalnika znajdą Państwo również ślady jesiennej nostalgii. W wywiadzie z pianistą i kompozytorem Bartłomiejem Wąsikiem, w lingwistycznej opowieści o pomidorach, czy też w niezwykłych rozmowach o fotografii. Naszych czytelników zapraszamy również na spacer po lubelskich Arkadach oraz do lektury opowieści o tajemniczym, płonącym mieście. Miłośnikom przyrody proponujemy spotkanie z orłami i z lekka żarłocznym roślinami. Jak zawsze w EKOgadce nie zabraknie wieści z Grupy KOM-EKO.

Milej lektury!

Zarząd Kom-Eko S.A.



POLECAMY:

NASZE PASJE	22
MIĘSOŻERCY	28
WYWIAD	44
KADRY	64



Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

**czerwiec
- sierpień 2026**

Pracownicy Zakładu Oczyszczania zabezpieczają utrzymanie czystości na imprezach plenerowych „Noc kultury”, „Carnaval Sztukmistrzów 2026”, „Wschód Kultury – Inne Brzmienia 2026” oraz „Festiwal Re:tradycja – Jarmark Jagielloński 2026”.

24 czerwca 2026

Przedstawiciele KOM-EKO dzielą się swoją wiedzą z mieszkańcami Lublina w ramach Kawiarenki partycypacyjnej - nowej przestrzeni dialogu Urban Lab Lublin.

czerwiec 2026

Zakup śmieciarki Volvo Fe320 oraz śmieciarki DAF XB na potrzeby Zakładu Wywozu Odpadów KOM-EKO.

3-5 lipca 2026

Kolejny raz firma KOM-EKO wsparła organizację turnieju golfowego „Ani Mru Mru Open” na polu golfowym w Wierchowiskach pod Lublinem.

lipiec 2026

Zakup śmieciarki Volvo Fe320 na potrzeby Zakładu Wywozu Odpadów KOM-EKO.

**lipiec
- sierpień 2026**

KOM-EKO sponsorem 9. sezonu Rezerwatu Dzikich Dzieci – inicjatywy polegającej na organizacji i funkcjonowaniu wydzielonego obszaru ochrony środowiska zabawy dziecięcej przy ul. Rusałka w Lublinie.

**21 września
2026**

Przedstawiciele KOM-EKO dzielą się swoją wiedzą z mieszkańcami Lublina w ramach Festiwalu Nauki w przestrzeni dialogu Urban Lab Lublin.



Ani Mru Mru Open 2026

Po raz kolejny firma KOM-EKO wsparła organizację turnieju golfowego „Ani Mru Mru Open” na polu golfowym w Wierchowiskach pod Lublinem. Jego uczestnicy zaproszeni do rywalizacji przez uznanych artystów kabaretowych obok wrażeń sportowych obcowali za naszą sprawą z edukacją ekologiczną. Tą poważną i tą w formie zabawy. Nie zabrakło naszego tradycyjnego konkursu, w którym uczestnicy musieli wykazać się kunsztem golfisty i wiedzą z zakresu segregacji odpadów.

Grupa KOM-EKO po raz kolejny sponsorowała prestiżową konkurencję „HOLE IN ONE” deklarując posadzenie w imieniu zwycięzcy 1000 drzew. Niestety i tym razem nie znalazł się ani jeden gracz, który potrafiłby jednym celnym uderzeniem umieścić piłkę w dołku. Może za rok?



FOTO: Redakcja.



FOTO: Centrum Kultury w Lublinie.

Rezerwat Dzikich Dzieci

Wakacje 2026 to czas, w którym firma KOM-EKO wspierała jako sponsor 9. sezon Rezerwatu Dzikich Dzieci. Rezerwat Dzikich Dzieci to wydzielony obszar ochrony środowiska zabawy dziecięcej inspirowany ideą Adventure Playground – Przygodowych Placów Zabaw. Dorośli zakładają Rezerwat, ale to dzieci go kształtują zgodnie z zasadami swobodnej zabawy (tzw. free play) i do nich należą wszelkie decyzje dotyczące wyglądu czy funkcjonalności. Aktywność dzieci polega na kreowaniu tej przestrzeni od podstaw z dostarczonych materiałów, budowaniu obiektów, "baz", stawianiu konstrukcji, uczestnictwie w warsztatach i wydarzeniach kulturalnych, korzystaniu z Kuchni Błotnej i ścieżek sensorycznych. Początkowo teren lubelskiego rezerwatu stanowił ogród przy ul. Dolnej Panny Marii, od lipca 2024 Rezerwat zlokalizowany jest w Parku Rusałka w Lublinie

Cieszymy się, że mogliśmy wesprzeć ten niezwykły projekt rozwijający samodzielność i kreatywność najmłodszych.

Urban Lab Lublin

Czym jest Urban Lab? To miejsce dialogu i innowacji na rzecz podnoszenia jakości życia w mieście, powstałe w ramach projektu „Urban Lab Lublin - Miasto dla Młodych”. W jego ramach na zaproszenie organizatorów reprezentant KOM-EKO uczestniczył, obok pracowników Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Lublin w roli eksperta w spotkaniach poświęconych prawidłowemu gospodarowaniu odpadami.

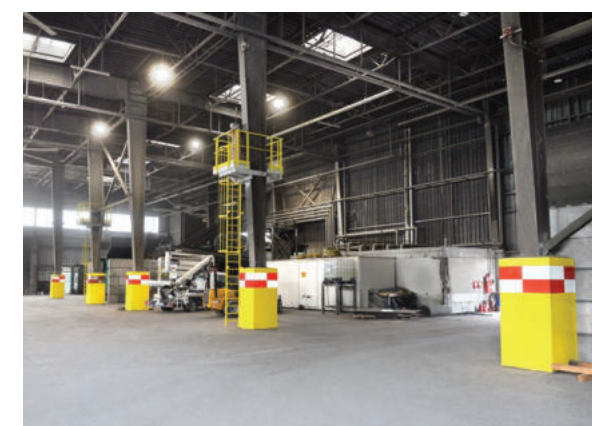
Spotkania w ramach Kawiarenki partycypacyjnej miały na celu podniesienie świadomości lublinian w zakresie prawidłowej gospodarki odpadami oraz przybliżenie im praktycznych aspektów idei zero waste i gospodarki o obiegu zamkniętym (GOZ). Cieszymy się, że twórcom lubelskiego Urban Lab udało się stworzyć przestrzeń do spokojnej i merytorycznej rozmowy, która pozwoli zrozumieć, że prawidłowa segregacja w domu ma bezpośredni wpływ na efektywność całego systemu odzysku i recyklingu w naszym mieście.

WIADOMOŚCI Z EKOPALIW MARLENA SZODA

Inwestujemy w bezpieczeństwo

W III kwartale 2026 roku zrealizowaliśmy szereg działań modernizacyjnych i remontowych na terenie zakładu EkoPaliwa Chełm. Prace objęły wymianę elementów linii technologicznej, w tym modernizację rotora rozdrabniacza końcowego, wymianę kasety tnącej HAAS i kół pędnych suwnicy oraz odnowienie nawierzchni placu manewrowego przy Zakładzie Produkcji Paliwa Alternatywnego. Przeprowadzone inwestycje pozwolą zwiększyć niezawodność procesów operacyjnych oraz poprawić komfort i bezpieczeństwo codziennej pracy.

Równolegle zrealizowano szereg działań mających na celu podniesienie standardów BHP poprzez kompleksowe oznakowanie zakładu, odnowienie ciągów komunikacyjnych oraz rozbudowę systemu przeciwpożarowego. Na hali przyjęcia odpadów zainstalowano gniazda monitorowe wyposażone w nowoczesne działka wodno-pianowe, zwiększające skuteczność reakcji w sytuacjach zagrożenia pożarowego. Konsekwentnie rozwijamy naszą infrastrukturę, stawiając na bezpieczeństwo pracowników, niezawodność instalacji oraz wysokie standardy prowadzonej działalności.



Zdobywamy Puchar Dyrektora Zarządu CEMEX

W sobotę 19 września 2026 r., odbyły się Towarzyskie Zawody Wędkarskie o Puchar Dyrektora Zarządu CEMEX. Co roku wydarzenie jest okazją do spotkania się uczestników reprezentujących firmy i instytucje współpracujące z naszym partnerem - CEMEX Polska Cementownia Chełm.

W czasie zawodów naszą spółkę reprezentowała silna 24-osobowa drużyna. Zaangażowanie całego zespołu przełożyło się na znakomity wynik. Dzięki wspólnym wysiłkom drużyna EkoPaliwa Chełm Sp. z o.o. zdobyła I miejsce w klasyfikacji drużynowej, potwierdzając doskonałą współpracę i ducha zespołowego. Indywidualny sukces odniósł również nasz kolega Michał Buszko, zajmując II miejsce w kategorii spinning.

Zawody były doskonałą okazją nie tylko do sportowej rywalizacji, ale również integracji i dobrej zabawy. Cieszymy się, że mogliśmy być częścią tego wydarzenia, które po raz kolejny pokazało, jak ważną rolę w codziennej współpracy odgrywają zaangażowanie, partnerstwo i wspólne pasje.

Gratulujemy wszystkim uczestnikom oraz dziękujemy organizatorom za przygotowanie kolejnej udanej edycji zawodów.



FOTO: Za zgodą EKOPALIWA.



Drugie życie przedmiotów - wciąż mają wartość



Jeszcze kilka lat temu wiele przedmiotów trafiało do odpadów wyłącznie dlatego, że ich właściciele nie mieli już dla nich zastosowania. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Kącik Rzeczy Używanych działający przy PSZOKu w Kraśniku stał się miejscem, które mieszkańcy pokochali. Osoby odwiedzające Kącik Rzeczy Używanych zwracają uwagę na jego przejrzystą organizację, łatwy dostęp oraz różnorodność pozostawianych przedmiotów. Zainteresowanie inicjatywą stale rośnie, a liczba osób korzystających z tego rozwiązania pokazuje, że idea ponownego użycia przedmiotów na dobre zakorzeniła się w naszej lokalnej społeczności.

Kącik Rzeczy Używanych powstał z prostego założenia: nie wszystko, czego już nie potrzebujemy, jest odpadem. Wiele przedmiotów znajdujących się w naszych domach nadal jest sprawnych i może służyć kolejnym osobom przez długie lata. Meble, zabawki, książki, naczynia, sprzęt sportowy czy elementy wyposażenia domu często zachowują pełną wartość użytkową. Zamiast trafiać do kontenera, mogą otrzymać drugie życie.

Kącik Rzeczy Używanych to jednak znacznie więcej niż miejsce wymiany przedmiotów. To ważny element budowania gospodarki o obiegu zamkniętym i odpowiedzialnego podejścia do gospodarowania zasobami. Dzięki takim punktom ograniczamy ilość odpadów trafiających do zagospodarowania, zmniejszamy zużycie surowców naturalnych oraz ograniczamy emisję związaną z produkcją nowych wyrobów.

FOTO: Za zgodą EKOLAND.



Lato pełne rozmów o ekologii

Dla wielu mieszkańców lato to czas odpoczynku, rodzinnych spotkań i udziału w lokalnych wydarzeniach. Dla zespołu EKOLAND był to jednak również okres intensywnej pracy edukacyjnej i setek rozmów o ekologii. Przez całe wakacje uczestniczyliśmy w piknikach rodzinnych, dożynkach, wydarzeniach sportowych oraz imprezach kulturalnych organizowanych na terenie powiatu kraśnickiego.

Tradycyjnie dużą uwagę poświęciliśmy najmłodszym uczestnikom wydarzeń. Dzieci chętnie brały udział w przygotowanych przez nas grach i zabawach edukacyjnych. Nauka poprzez zabawę to najlepszy sposób na kształtowanie dobrych nawyków. Jeszcze większym wyzwaniem okazało się jednak dotarcie do grupy wiekowej 20-40+, czyli osób aktywnych zawodowo i rodzinie. W natłoku zajęć tematy związane z gospodarką odpadami często schodzą na dalszy plan. Dlatego tak ważna jest obecność podczas lokalnych wydarzeń, gdzie w mniej formalnej atmosferze można zatrzymać się na chwilę i porozmawiać o sprawach, które dotyczą nas wszystkich.

Wakacyjne weekendy to czas, kiedy całe rodziny spotykają się podczas festynów, zawodów sportowych i wydarzeń plenerowych. To właśnie tam najłatwiej prowadzić prawdziwy dialog z mieszkańcami. Rozmowy nie ograniczały się jedynie do zasad segregacji. Coraz częściej dotyczyły ograniczania ilości odpadów, ponownego wykorzystania przedmiotów, recyklingu oraz odpowiedzialnej konsumpcji. Mieszkańcy pytali o działanie PSZOK-u, system kaucyjny czy możliwości przekazywania rzeczy do ponownego użycia.

Minione lato pokazało, że edukacja ekologiczna nie musi odbywać się wyłącznie w szkołach czy podczas specjalistycznych szkoleń. Czasem wystarczy rozmowa podczas rodzinnego pikniku, dożynek czy wydarzenia sportowego, aby zwrócić uwagę na kwestie, które na co dzień odkładamy na później. A przecież odpady nie znikają wraz z końcem wydarzenia. To temat, który dotyczy każdego z nas każdego dnia. Dlatego będziemy nadal obecni tam, gdzie są mieszkańcy, bo najlepsza edukacja zaczyna się od rozmowy.



FOTO: Za zgodą EKO-AZBEST.



EKO-AZBEST sponsorem dożynek w Tuczępach

Za nami wyjątkowe Dożynki Gminne w Tuczępach, pełne tradycji, muzyki, radości i spotkań z mieszkańcami. Cieszymy się, że Eko-Azbest Sp. z o.o., należący do Grupy Kom-Eko, mógł objąć wydarzenie rolą Głównego Sponsora.

Dożynki są pięknym symbolem szacunku dla pracy rolników oraz doskonałą okazją do pielęgnowania lokalnych tradycji, integracji mieszkańców i wspólnego świętowania w wyjątkowej atmosferze.

Podczas uroczystości Eko-Azbest oraz Grupę Kom-Eko reprezentowali: Marcin Benbenek, Prezes Zarządu Kom-Eko S.A. oraz Tomasz Stępień, Dyrektor Operacyjny Eko-Azbest Sp. z o.o.

Była to dla nas cenna okazja do spotkań, rozmów i wspólnego celebrowania tego ważnego dla lokalnej społeczności wydarzenia.

Szczególne podziękowania kierujemy do Wójty Gminy Tuczępy, Pana Jacka Wilka, za zaangażowanie, otwartość na współpracę oraz troskę o to, by tegoroczne Dożynki były wyjątkowym świętem dla wszystkich mieszkańców. Dziękujemy również Gminie Tuczępy, organizatorom oraz wszystkim osobom zaangażowanym w przygotowanie wydarzenia za ogrom pracy, profesjonalną organizację i stworzenie niezapomnianej atmosfery.

Jako Eko-Azbest i cała Grupa Kom-Eko chcemy być blisko lokalnych społeczności oraz aktywnie wspierać inicjatywy, które integrują mieszkańców i wzmacniają regionalne tradycje. Cieszymy się, że mogliśmy być częścią tego święta i już dziś liczymy na kolejne wspólne przedsięwzięcia.



Razem dla środowiska

Edukacja ekologiczna w sercu recyklingu

ANNA MARZEC

W dobie rosnących wyzwań środowiskowych edukacja ekologiczna staje się jednym z kluczowych elementów budowania świadomego społeczeństwa. Coraz więcej osób dostrzega, że odpowiedzialne gospodarowanie odpadami zaczyna się od wiedzy, a najlepszym sposobem jej zdobywania są bezpośrednie doświadczenia. Taką możliwość oferuje Centrum Recyklingu EKOPAK, które regularnie gości dzieci, młodzież szkolną, studentów oraz mieszkańców zainteresowanych tematyką gospodarki odpadami i recyklingu.

Grupa KOM-EKO aktywnie angażuje się również w lokalne festyny, pikniki rodzinne i wydarzenia edukacyjne. Podczas organizowanych spotkań uczestnicy mogą wziąć udział w licznych grach, zabawach i konkursach ekologicznych. Dzięki atrakcyjnej formule nauka o ochronie środowiska staje się ciekawa i przystępna dla osób w każdym wieku. Najmłodsi uczą się zasad segregacji odpadów poprzez zabawę, natomiast starsi uczestnicy poznają praktyczne aspekty recyklingu oraz wpływ codziennych decyzji na środowisko naturalne.

Szczególnym zainteresowaniem cieszą się wizyty edukacyjne dzieci ze szkół podstawowych, uczniów szkół ponadpodstawowych oraz studentów różnych kierunków. Podczas zwiedzania Centrum Recyklingu EKOPAK uczestnicy mają okazję zobaczyć, jak wygląda droga odpadów od momentu ich odbioru, dostarczenia do instalacji aż po proces odzysku surowców. Bezpośredni kontakt z nowoczesnymi technologiami pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego prawidłowa segregacja odpadów ma tak ogromne znaczenie dla skuteczności recyklingu.

Jednym z ważnych elementów prowadzonych zajęć jest prezentacja morfologii strumienia odpadów komunalnych. To zagadnienie, choć brzmi specjalistycznie, pozwala zrozumieć, jakie rodzaje odpadów trafiają do systemu gospodarowania odpadami i jaki jest ich udział procentowy. Uczestnicy dowiadują się między innymi, jak dużą część strumienia stanowią odpady

biodegradowalne, tworzywa sztuczne, papier, szkło czy metale. Wiedza ta pomaga lepiej ocenić potencjał recyklingowy poszczególnych frakcji oraz wskazuje obszary wymagające dalszej edukacji społecznej.

Praktyczne lekcje organizowane przez EKOPAK pokazują również konsekwencje niewłaściwej segregacji. Nawet niewielkie błędy popełniane w gospodarstwach domowych mogą znacząco utrudnić odzysk wartościowych surowców. Dzięki wizytom w centrum uczestnicy przekonują się, że każdy mieszkaniec ma realny wpływ na skuteczność całego systemu gospodarki odpadami.

Edukacja ekologiczna nie ogranicza się jednak wyłącznie do przekazywania wiedzy. Jej celem jest przede wszystkim kształtowanie odpowiedzialnych postaw i budowanie świadomości, że odpady mogą stać się cennym zasobem. To właśnie młode pokolenie, wyposażone w wiedzę i dobre nawyki, będzie w przyszłości podejmować decyzje mające wpływ na stan środowiska naturalnego.

Działania realizowane przez Grupę KOM-EKO pokazują, że edukacja ekologiczna może być jednocześnie wartościowa, angażująca i atrakcyjna. Organizowane warsztaty, wizyty studyjne, festyny oraz wydarzenia plenerowe przyczyniają się do poszerzania wiedzy mieszkańców na temat recyklingu i prawidłowego gospodarowania odpadami. To inwestycja nie tylko w czystsze środowisko, ale również w bardziej świadome i odpowiedzialne społeczeństwo.

Wspólna nauka, bezpośredni kontakt z procesami recyklingu oraz możliwość obserwacji funkcjonowania nowoczesnej instalacji sprawiają, że uczestnicy opuszczają EKOPAK z nową wiedzą i przekonaniem, że nawet drobne codzienne działania mogą przyczyniać się do ochrony środowiska. A właśnie od takich małych kroków zaczynają się duże zmiany.

Serdecznie zapraszamy!

biuro@ekopak.eco
komeko@kom-eko.pl



FOTO: Redakcja.



O doświadczeniach związanych z funkcjonowaniem systemu kaucyjnego rozmawiamy z **Pawłem Suszkiem**, członkiem zarządu Ekopak Sp. z o.o.

Za chwilę minie rok od pierwszych prób wdrożenia w Polsce systemu kaucyjnego. Jak Grupa KOM-EKO a zwłaszcza spółka Ekopak wyspecjalizowana w sortowaniu i odzyskiwaniu odpadów opakowaniowych odnajduje się w tej nowej rzeczywistości?

Współpracujemy z operatorami systemu kaucyjnego świadcząc usługę rozsortowania zbieranych w butelkomatach odpadów. Z pierwszym z operatorów rozpoczęliśmy współpracę z początkiem 2026 r. Wolumen przyjmowanych w ciągu miesiąca przez Ekopak odpadów opakowaniowych sięgał nawet 1000 ton. W tej chwili współpracujemy z dwoma operatorami, którzy dostarczają do nas odpady do niedawna zbierane przez mieszkańców w żółtych workach. To ważne, bo równolegle na naszej instalacji, tak jak dotychczas, przetwarzamy selektywnie zbierane odpady komunalne. Według naszych obserwacji i analiz ilość butelek PET w odpadach komunalnych stanowi dziś zaledwie 35% wolumenu zbieranego w roku ubiegłym. Podejrzewamy, że w przyszłości będzie ich jeszcze mniej – 20-30%.

Tymczasem przychód z tych surowców obecnych w „żółtym worku”, po wysegregowaniu, pozwalał bilansować wysokie koszty selektywnej zbiórki i przetwarzania odpadów komunalnych...

Nawet w przypadku tak zaawansowanej technologii i efektywnej instalacji jak nasza oznacza to w skali roku kilkumilionowy, bolesny spadek przychodów. Z jednej strony ubywa najcenniejszych surowców ze strumienia selektywnie zbieranych odpadów komunalnych, z drugiej

dramatycznie spadła ich cena. Operatorzy systemu kaucyjnego zasypali recyklerów odzyskanymi opakowaniami z PETa, do tego stopnia, że dziś niektórzy z nich wstrzymali przyjęcia odpadów. Polski PET coraz częściej trafia do recyklingu w Holandii, Belgii, Francji, Niemczech czy na Litwie. Na szczęście tak znacząco nie spadła cena aluminium, ale ono również wobec braku możliwości przetwórczych w kraju, wyjeżdża za granicę. Musimy też pamiętać, że w przypadku podmiotów odbierających odpady komunalne zubożenie tego strumienia o opakowania z PET i aluminium znacząco obniża możliwość osiągnięcia przez nie wymaganych prawem poziomów recyklingu, co również wiąże się wymiernym efektem finansowym w postaci wysokich kar.

Jesteśmy więc coraz bliżej sytuacji, w której ziszcza się prognozy mówiące o tym, iż ubocznym skutkiem tak skonstruowanego systemu kaucyjnego będzie wzrost kosztów przetwarzania i zbierania odpadów, co bezpośrednio odczują mieszkańcy?

Ostrzegaliśmy przed tym jeszcze przed wejściem w życie systemu kaucyjnego. W obecnym kształcie jest on drogi sam w sobie, więc nie mógł, jak zapowiadano, obniżyć kosztów zbiórki i zagospodarowania odpadów komunalnych. Oczywiście sam system kaucyjny zbilansuje się z opłat z nieodebranych kaucji i przychodów ze sprzedanych surowców, ale ucierpią gminy, ich mieszkańcy oraz podmioty komunalne i prywatne przetwarzające odpady. Tak jak już mówiłem zabrano nam przychody ze sprzedaży PET i aluminium, ale odpadów w „żółtym worku” nie ubyło. Wartościowe surowce zostały

zastąpione przez te, które są trudniejsze w przetworzeniu. Wysortowujemy je, kierujemy do recyklerów, natomiast by zrekompensować utratę przychodów weszliśmy w obsługę systemu kaucyjnego. Wymagało to od nas inwestycji w infrastrukturę zakładu i zmian organizacyjnych, bo linii sortowniczej sortując odpady kaucyjne wymaga zmian w jej konfiguracji. Byliśmy m.in.

zmuszeni do zakupu drugiej prasy do odpadów, dodatkowych podajników, ale również zwiększenia zatrudnienia. Próbuje więc być częścią tego systemu, co nie jest łatwe, bo operatorzy z którymi współpracujemy wciąż się go uczą a ponadto jest wiele zmiennych, które zaskakują jego uczestników, takich jak podaż surowca, jego ceny czy wspomniany brak mocy przerobowych krajowych recyklerów.

Wydaje się, że nie przyłożono właściwej wagi do roli procesów przetwarzania tj. sortowania i recyklingu w łańcuchu logistycznym odpadów zbieranych w systemie kaucyjnym.

Niestety dyskusja nad kształtem systemu kaucyjnego na etapie konsultacji czy nawet już jego wdrażania koncentrowała się na wytwórcach opakowań, konsumentach i miejscu ich zbiórki w sklepach. Kluczowym zagadnieniem dla operatorów i twórców systemu były butelkomaty i na tym w zasadzie temat się kończył. Bagatelizowano zagadnienie przetwarzania odpadów. Pamiętam jedną z rozmów z operatorami, kiedy usłyszałem: „co w tym trudnego, przyjmiecie odpady, sortujecie, oddajecie dalej, do widzenia”. Od samego początku podmioty mające doświadczenie w zbieraniu i przetwarzaniu odpadów podkreślały, że to bardzo skomplikowany proces logistyczny. Poczynając od tzw. etapu „pierwszej mili” czyli dostarczenia opakowania przez mieszkańca do punktu zbiórki a następnie zebranie rozproszonych strumieni bezpośrednio lub przez centrum logistyczne do miejsca przetworzenia takich jak instalacja Ekopak. Często trafiają one w workach, w sposób, który nie da się lepiej określić, niż jako nieefektywne „wożenia powietrza”. Przywoływany częstokroć w dyskusjach ślad węglowy jest w tym przypadku o wiele



większy niż w przypadku wstępnie prasowanych odpadów. Wbrew temu co wydawało się operatorom proste nie jest też opróżnienie tych worków, zdjęcie plomb, rozdzielanie aluminiowych puszek od butelek PET (w części butelkomatów zbierane są razem) i podział tych ostatnich na kolory, czego wymagają recyklerzy. Sortowanie

odpadów z systemu kaucyjnego jest procesem przetwarzania odpadów, który musi być prowadzony w specjalistycznej instalacji posiadającej niezbędne zezwolenia. Efektem tego przetworzenia są nie tylko posegregowane strumienie odpadów opakowaniowych, które są kierowane do recyklerów, ale też generujący dodatkowe koszty odpad balastowy. Nie jest tak, jak początkowo myśleli operatorzy, że ilość odpadów, która trafia do butelkomatów jest równa ilości odpadów poddanych recyklingowi. Balast, na który składają się zanieczyszczenia, korki, pierścienie, na których zamocowany jest korek, etykiety, ale też partie odpadów zniszczone na skutek niewłaściwego perforowania w butelkomatach stanowi od 15% do 20% wejściowej masy odpadów. To również efekt prasowania przez niektórych operatorów na potrzeby transportu butelek PET wraz z aluminium. Taką mieszaninę, często wstępnie pociętą przez części tnące pras i perforatorów bardzo trudno rozsortować.

Prognozy na przyszłość?

Obserwując dziś jak funkcjonuje system kaucyjny, mam mocno mieszane uczucia. Myślę jednak, że system kaucyjny będzie w swym kształcie ewoluował. Wszyscy jego uczestnicy będą się uczyć i nabierać nowych doświadczeń. Na pewno w przeciągu kolejnych kilku lat należy się liczyć z inwestycjami w infrastrukturę związaną z przetwarzaniem a przede wszystkim recyklingiem odpadów. To, jakiej wielkości strumień odpadów będzie w ten sposób zbierany i poddawany recyklingowi w dużej mierze będzie zależało od tego czy, kiedy i w jakim kształcie zostaną wprowadzone regulacje związane z rozszerzoną odpowiedzialnością producenta. Ale to już temat na oddzielną rozmowę.

Jak sortujemy odpady?

Świat maszyn i ludzi - cz. 6

ADAM PRZYSTUPA

Jesteście ciekawi jaki jest dalszy los sortowanych przez Was w domach odpadów?

W pierwszych pięciu częściach naszego cyklu podążając śladem zawartości żółtego pojemnika bądź worka (metale, plastiki, opakowania wielomateriałowe) zwiedzaliśmy instalację, której zadaniem jest jej przygotowanie do recyklingu. W tej opowiemy w jaki sposób odpady nienadające się ze względu na swoją jakość do recyklingu przetwarzane są na **paliwo alternatywne (RDF)**, stanowiące źródło energii i alternatywę dla paliw kopalnych.

Specjalistyczne rozdrabniacze



Kluczowym urządzeniem instalacji do produkcji paliwa alternatywnego są specjalistyczne rozdrabniacze, których zadaniem jest zmniejszenie rozmiarów odpadów przy jednoczesnym uzyskaniu jednolitej frakcji. Dobór technologii rozdrabniania zależy przede wszystkim od rodzaju odpadów, oczekiwanej wielkości produktu końcowego oraz wymaganej wydajności instalacji. W praktyce stosuje się dwa podstawowe układy technologiczne: jednostopniowy oraz dwustopniowy. W układzie jednostopniowym cały proces odbywa się w jednej maszynie, najczęściej rozdrabniaczu wolnoobrotowym. W układzie dwustopniowym pierwszy etap stanowi wstępny rozdrabniacz wolnoobrotowy, którego zadaniem jest rozdrobnienie dużych elementów oraz ujednolicenie struktury materiału. Dopiero tak przygotowane odpady trafiają do drugiego etapu – rozdrabniacza szybkoobrotowego, który nadaje produktowi końcowemu wymaganą granulację.

Wśród rozdrabniaczy wstępnych spotyka się zarówno konstrukcje jednowałowe, jak i dwuwałowe. Rozdrabniacze dwuwałowe wyposażone są w dwa wolno obracające się wały z zazębionymi się nożami, które chwytają materiał i rozrywają go przy bardzo dużym momencie obrotowym. Rozdrabniacze jednowałowe – zarówno wstępne, jak i końcowe – wykorzystują jeden wirnik współpracujący z hydraulicznym dociskaczem i sitem kalibrującym. Przyjrzyjmy się bliżej ich pracy.

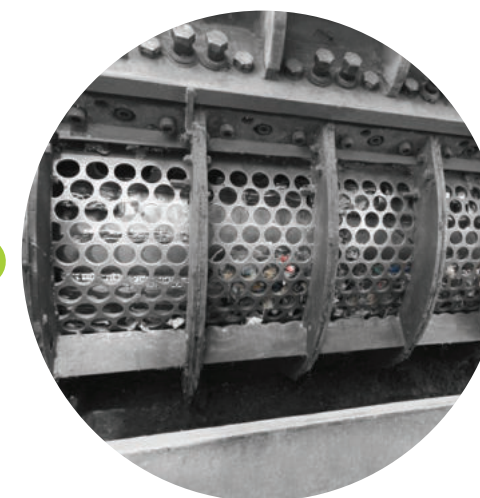
Proces rozpoczyna się od podania odpadów do lejka zasypowego urządzenia przy pomocy przenośnika taśmowego. Najważniejszym elementem rozdrabniacza jest wał roboczy (wirnik) wyposażony w wymienne noże wykonane z wysokowytrzymałej stali narzędziowej rozmieszczone w kilku rzędach na całej jego długości. W rozdrabniaczach szybkoobrotowych wirnik obraca się prędkością ok. 360 obr./min, w modelach wolnoobrotowych – ok. 100 obr./min. Noże wirnika współpracują z nieruchomymi przeciwnożami zamocowanymi w korpusie maszyny. Pomiędzy ostrzem noża a przeciwnożem powstaje niewielka szczelina tnąca, działająca podobnie jak nożyce. Podczas obrotu wału noże chwytają materiał, wciągają go do komory roboczej i ścinają. Dodatkowo w leju zasypowym odpady przesuwane są w kierunku komory rozdrabniacza i dociskane do wału przy pomocy hydraulicznego dociskacza.

Pod wirnikiem znajduje się sito kalibrujące, o łukowym kształcie z otworami o określonej średnicy nadające odpowiednią granulację wytwarzanemu paliwu alternatywnemu. Dopóki rozmiar odpadu jest większy od otworów sita, pozostaje on w komorze roboczej i jest wielokrotnie rozdrabniany. Dopiero po osiągnięciu wymaganej wielkości przechodzi przez sito i opuszcza maszynę.

Gotowy materiał odbierany jest za pomocą przenośnika taśmowego, który transportuje paliwo alternatywne (RDF) do magazynu. Wytworzone w ten sposób jednolite paliwo spełniające wymagania fizyko-chemiczne odbiorcy wykorzystywane jest jako źródło energii w przemyśle cementowym i energetyce zawodowej.



wał roboczy (wirnik)



sito kalibrujące



paliwo RDF



FOTO: Adobe Stock.

KRYZYS ZAUFANIA

czy można go powstrzymać?

MAŁGORZATA POŁOK

Zaufanie jest jedną z najważniejszych wartości utrzymujących spójność grup społecznych, a w szerszym wymiarze – społeczeństw. Zaufanie do drugiego człowieka to wiara lub wiedza, że działania kogoś innego będą zgodne z naszym życzeniem. Jest fundamentem relacji – kluczowym elementem budowania bliskości, poczucia bezpieczeństwa w rodzinie, przyjaźni, w danej społeczności. Bez zaufania, bez przekonania, że można wierzyć drugiej osobie, cudzemu słowu czy obietnicy, nie da się dobrze funkcjonować ani w rodzinie, ani w biznesie, ani w państwie.

Jak wygląda poziom zaufania w Polsce?
Globalny Indeks Zaufania Krajów wg Ipsos

z 2026 roku pokazuje, że najwyższy spośród 31 krajów wskaźnik zaufania mają kraje Azji i Pacyfiku: Indie, Malezja, Tajlandia, Singapur oraz Indonezja.

W Europie kraje z wyższym poziomem zaufania to Holandia i Szwecja. Natomiast kraje Europy Wschodniej wykazują się najniższym zaufaniem, z czego Polska zajmuje wraz z Rumunią ostatnie miejsce na liście. To oznacza, że w naszym regionie Europy poziom zaufania społecznego i instytucjonalnego wciąż jest jednym z najniższych na świecie.

W raporcie podjęto się również zbadań poziomu zaufania do poszczególnych zawodów. Widać tutaj, że w Polsce najniższym

zaufaniem cieszą się politycy oraz influencerzy mediów społecznościowych. Najwyższym zaufaniem obdarzamy naukowców, nauczycieli oraz siły zbrojne.

Według badania CBOS przeprowadzonego w bieżącym roku, wśród Polaków niezmiennie dominuje przekonanie, że w relacjach z innymi ludźmi trzeba zachowywać daleko posuniętą ostrożność (75% badanych). Średnia wartość wskaźnika zaufania wynosi -0,67 i jest to identyczny wynik jak podczas poprzedniego pomiaru w 2024 roku. Jego ujemna wartość oznacza, że Polacy w stosunkach międzyludzkich pozostają raczej nieufni.

Skąd bierze się tak niski poziom zaufania Polaków? W celu przeanalizowania tego zjawiska, trzeba zastanowić się w jaki sposób buduje się zaufanie.

Zaufanie buduje się powoli poprzez powtarzalne, uczciwe i przewidywalne zachowania. Bardzo łatwo jednak je stracić przez jeden nieprzemyślany krok, kłamstwo, złamaną obietnicę lub nawet krzywdę wyrządzoną grupie czy danej osobie. Odbudowanie zaufania wymaga czasu, cierpliwości i konsekwencji ze strony osoby lub osób, które je zawiodły. Są jednak sytuacje, w których odbudowanie zaufania jest bardzo trudne a nawet niemożliwe.

Niski poziom zaufania w Polsce wynika z nałożenia się na siebie czynników historycznych, kulturowych czy systemowych. Jako dodatkowy czynnik, choć nie o tak dużym znaczeniu jak poprzednie, wymienia się także wpływ klimatu na poziom zaufania społecznego. Kraje o stabilnym, ciepłym klimacie sprzyjają życiu na zewnątrz i częstszym spontanicznym interakcjom z obcymi. Długie, szare miesiące jesienno-zimowe w Polsce sprzyjają stanom depresyjnym, wycofaniu społecznemu i apatii. Człowiek zmęczony i pozbawiony energii naturalnie przyjmuje postawę obronną i podejrzliwą wobec otoczenia. Warto tutaj podkreślić, że nie pomaga nam na pewno tzw. „kultura narzekania”, która wielu Polaków dotyczy. W Polsce w wielu miejscach dzielenie się negatywnymi emocjami jest formą nawiązywania kontaktu lub codziennej rozmowy. Jednak stałe skupianie się na negatywach emocjach programuje mózg na dostrzeganie zagrożeń i nieuczciwości wokół.

Warto wyrwać się z takiego myślenia, nie skupiając się jedynie na obszarach, na które nie

mamy wpływu, takich jak wydarzenia z przeszłości czy klimat. Przyjrzyjmy się aspektom, które są w naszych rękach. Należy do nich niewątpliwie sposób w jaki wychowujemy nasze dzieci oraz własne podejście do ludzi.

Starajmy się budować w naszych dzieciach autonomię, świadomość siebie, konstruktywną pracę zespołową oraz większą otwartość na drugiego człowieka w granicach bezpieczeństwa, ale bez przesadnego wywoływania strachu i niepokoju.

Pamiętajmy też, że zaufanie do świata zaczyna się od zaufania do samego siebie. Psychologia potwierdza, że osoby o stabilnym poczuciu własnej wartości i wewnętrznym spokoju rzadziej postrzegają innych jako zagrożenie. Lęk zamyka nas w trybie przetrwania, a spokój pozwala na otwartość. Potrzebna jest nam i naszym dzieciom edukacja emocjonalna po to, aby lepiej rozpoznawać emocje, rozwijać empatię i asertywność.

Czasem trudno nam zaufać sobie i światu, ponieważ spotkało nas coś złego. To trudny temat, jednak nie oznacza, że w przyszłości już nigdy nie będziemy mogli nikomu zaufać. Czasem jednym z rozwiązań jest oddzielenie złego doświadczenia od reszty świata po to, aby nie poddawać się generalizacji typu: „Wszyscy ludzie to oszuści”. Warto w takich momentach, być może przy wsparciu bliskich lub specjalisty, przekierować uwagę na zaufanie do siebie i to właśnie je w sobie budować.

Pierwszy krok do budowania zaufania do samego siebie to dotrzymywanie obietnic danych sobie. Jeśli planujesz pójść na spacer, odpocząć, skończyć projekt – zrób to, skoro to sobie obiecałeś/aś. W ten sposób Twój mózg uczy się, że jesteś osobą solidną i przewidywalną. Podobnie dotrzymuj obietnic składanych innym ludziom.

Stawiaj wyraźne granice. Osoby, które potrafią z szacunkiem powiedzieć „nie”, ufają innym znacznie łatwiej, ponieważ wiedzą, że w razie potrzeby obronią swój komfort i bezpieczeństwo.

Kolejnym ważnym krokiem jest stopniowe wychodzenie z „kultury lęku i narzekania”. To proces, dlatego realizuj go małymi krokami. Spróbuj zaufać w drobnych sprawach, na przykład: pozwól komuś pomóc sobie w pracy, odeleguj zadanie, poproś sąsiada o przysługę. Zobaczysz, że w większości przypadków świat odpowie pozytywnie. Postaraj się również zmienić narrację: Kiedy łapiesz się na myśli: „On na



pewno chce mnie oszukać”, zatrzymaj się i zapytaj siebie: „Czy mam na to realne dowody, czy to tylko mój wyuczony lęk?”.

A może dobrym rozwiązaniem będzie poszukiwanie w swoim otoczeniu wspólnoty, społeczności, po to, aby zaangażować się w coś, co ma dla Ciebie sens i wykracza poza Twoje własne „ja” – wolontariat, lokalny klub sportowy, grupa sąsiedzka. Robienie dobrych rzeczy z obcymi ludźmi błyskawicznie leczy z nieufności.

Praktykowanie wdzięczności i doceniania to również ważny krok. Zamiast spajać relacje narzekaniem na system czy pogodę, zacznij głośno mówić o dobrych rzeczach, które spotkały Cię ze strony innych ludzi, a w szczególności tych najbliższych. Kryzys zaufania możemy powstrzymać, wszystko w naszych rękach. Na początek zacznijmy od siebie i swoich małych społeczności.

Źródła:

*The Ipsos Global Trustworthiness Index 2026
Zaufanie społeczne, CBOS, Marzec 2026*



Małgorzata Połok

Dyplomowany coach oraz trener biznesu. Ukończyła Szkołę Trenerów IBD Business School oraz Szkołę Coachów Akademii SETT. Posiada tytuł MBA z zakresu zarządzania przedsiębiorstwem.

Posiada ponad 22 lata doświadczenia zawodowego, z czego ponad 10 lat w zakresie prowadzenia szkoleń, warsztatów rozwojowych i rekrutacji oraz 12 lat jako menadżer. Od ponad 2 lat prowadzi profesjonalne sesje coachingowe. Jest praktykiem w dziedzinie marketingu, PR i sprzedaży. Pełna pomysłów i otwarta na ludzi. Inspiruje i sama wciąż poszukuje inspiracji.

Prywatnie żona i mama trójki dzieci. Kocha ludzi, naturę i podróżowanie. Nieustannie wspiera innych w ich działaniach.

WSPOMNIENIE



Tadeusz Baranowski

We wtorek 7 lipca 2026 roku odszedł Tadeusz Baranowski – malarz, grafik, ilustrator i jeden z najwybitniejszych twórców w historii polskiego komiksu.

Artysta obdarzony niezwykłą wyobraźnią urodził się w Zamościu, ale dorastał w Lublinie. Tutaj chodził do szkoły muzycznej, maturę zdał w Liceum im. Stanisława Staszica. Z Lublinem związany był również jego ojciec, Eugeniusz Baranowski – rzeźbiarz, rysownik i pedagog, wieloletni nauczyciel oraz dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Środowisko rodzinne domu bez wątpienia należało do świata, w którym kształtowała się wyobraźnia przyszłego twórcy. Symbolicznym domknięciem jego lubelskiej historii była tegoroczna, wiosenna wystawa prac artysty w Muzeum Narodowym w Lublinie pod wiele mówiącym tytułem „Żyję tylko od obrazu do obrazu”. Tadeusz Baranowski wraz z siostrą przekazał też Muzeum blisko 170 prac ojca – rysunków i rzeźb, przywracając pamięć o niezwykle interesującym, a nieco zapomnianym lubelskim artyście.

Choć dla kilku pokoleń Polaków pozostanie autorem Kudłaczka i Bąbelka, profesorka Nerwosolka, Entomologii, Orient Mena czy smoka Diplodoka, był przede wszystkim artystą plastykiem. W 1969 r. obronił z wyróżnieniem dyplom na Wydziale Grafiki i Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych a w ostatnich latach życia to właśnie malarstwu poświęcał najwięcej uwagi. Stworzył własną technikę twórczą wykorzystującą różnorodne materiały pozwalającą konstruować abstrakcyjne trójwymiarowe, bliskie płaskorzeźbie kompozycje.

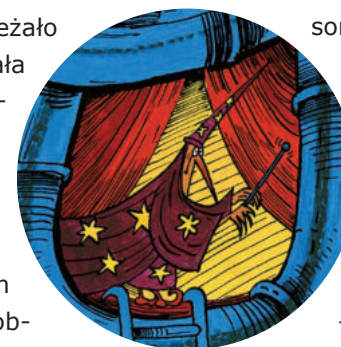
Nie sposób jednak jego przygody z komiksem sprowadzić jedynie do wczesnego etapu drogi twórczej. Tadeusz Baranowski wykreował osobny język komiksu, który przyniósł mu

popularność i uznanie czytelników. Jego rysunek był natychmiast rozpoznawalny: pełen szczegółów, fantastycznych stworzeń, niespodziewanych form, kolorów i wizualnych żartów. Bawił się komiksem eksperymentując z kadrowaniem i kompozycją plansz. Równie ważne było słowo. Posiadał niezwykłą umiejętność budowania humoru z absurdu, językowych skojarzeń i przewrotnego traktowania utartych powiedzeń. Tytuły jego komiksów, jak „Skąd się bierze woda sodowa i nie tylko”, „Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa”, „Antresolka profesorka Nerwosolka” czy „Podróż smokiem Diplodokiem” same w sobie były zaproszeniem do zabawy językiem. Wiele z tekstów wypowiedzianych przez jego bohaterów, na równi z cytatami z popularnych filmów, weszło do języka czytelników („Ależ wodzu, co wódz!” – „To ja przepraszam”).

Mamy także własny, szczególny powód, by ciepło wspominać Tadeusza Baranowskiego. W początkach kwartalnika „EKOgadka” zwróciliśmy się do niego z prośbą o możliwość wykorzystania fragmentów jego twórczości jako ilustracji artykułu poświęconego motywom ekologicznym w polskim komiksie. Spotkaliśmy się wówczas z jego życzliwością i zgodą. Dla młodego wówczas pisma możliwość pokazania prac artysty tej klasy była czymś ważnym i wyjątkowym. Dziś chcemy za ten gest raz jeszcze bardzo serdecznie podziękować.

Tadeusz Baranowski pozostawił po sobie obrazy, rysunki i komiksy, ale przede wszystkim pozostawił świat, którego wcześniej nie było. Pełen koloru, przewrotnego humoru i językowej fantazji. Świat całkowicie własny i dlatego niemożliwy do podrobienia. Jak Tadeusz Baranowski – niepowtarzalny.

Za wszystko dziękujemy.



Zatrzymać w kadrze

O samodzielnym odkrywaniu sekretów fotografii rozmawiamy z **Kacprem Jawoszkim**, specjalistą ds. IT w Grupie KOM-EKO.

Z zawodu jesteś informatykiem, ale Twoim hobby stała się fotografia.

To dość świeże hobby, bo tak naprawdę zdjęcia przy użyciu aparatu zacząłem robić w grudniu ubiegłego roku. Wcześniej nie interesowałem się bliżej fotografią, choć zawsze trochę mi imponowała. Zwłaszcza, gdy obserwowałem przy fotografowaniu moją siostrę, która ma taką artystyczną duszę i niegdyś bardzo lubiła to robić. Sam zacząłem bawić się fotografią trochę z przypadku. Gdy moi znajomi zrobili pozwolenie na broń i zaczęli jeździć na strzelnicę, a ja razem z nimi, postanowili zacząć prowadzić profil na Instagramie. A że ja akurat byłem pod ręką to zacząłem im robić zdjęcia i tak mi się to spodobało, że po kilku ładnych spotkaniach na strzelnicy, zamiast korzystać z telefonu postanowiłem zakupić prawdziwy aparat.

Fotografujesz aparatem cyfrowym czy analogowym?

Używam aparatu cyfrowego. Padło na Lumixa. Można powiedzieć, że to bardziej kamera niż aparat, bo również zajmuje się nagrywaniem i montowaniem materiałów wideo, to na początek mojej przygody jest wystarczający do obu tych czynności, ale pewnie z czasem nabędę coś jeszcze. Zobaczymy, jak ta moja pasja będzie się rozwijać. Wiem, że tak naprawdę dopiero zaczynam i nadal nie mam przekonania czy zdjęcia, które robię, są tym co chciałbym uzyskać. Powoli

to odkrywam a przy tym dobrze się bawię.

Nim wykonałeś pierwsze zdjęcie, obłożyłeś się poradnikami, studiowałeś książki o fotografii?

Absolutnie nie. Nie było też nikogo, kto by mnie tego uczył. Z natury jestem trochę przekorą i nie lubię takiego podejście, gdy muszę robić coś w ściśle, tak a nie inaczej. Wolę sam dochodzić do celu, choćbym po drodze popełnił 1500 błędów i miał do siebie wielkie pretensje. Moje pierwsze wyjście w plener z aparatem fotograficznym zakończyło się katastrofą, a przynajmniej tak myślałem. Źle operowałem przysłoną i czasem naświetlania i wszystkie zdjęcia wyszły za ciemne. Oczywiście jako „świeżak” nie miałem pojęcia, że fotografie wyglądają inaczej, pod względem światła, na ekranie aparatu, a inaczej gdy „wrzuci się” je do programu do obróbki zdjęć. Gdy to odkryłem byłem zły, bo chodziłem na mrozie i w śniegu ze dwie godziny. Przyszedł mi jednak do głowy pomysł. Spróbowałem rozjaśnić zdjęcia. Niestety efektem ubocznym takiej operacji jest „ziarno”, które pozbawia kadr szczegółów przez co zdjęcie jest mało czytelne. Wykorzystałem to jednak. Dzięki „ziarnu” uzyskałem efekt jakby zdjęcia były „wydrukowane na papierze matowym”, może nie do końca się udało, ale jak na pierwsze „artystyczne” sztuczki ratowania fotografii wyszło całkiem nieźle.





Co lubisz fotografować najbardziej?

W pierwszej chwili chciałem powiedzieć, że przyrodę, ale chyba właściwszym będzie słowo widoki. Na pewno nie ludzi, choć zacząłem od fotografowania znajomych. W ich przypadku wiedziałem, jak się zachowują, czego mogę się spodziewać, jak to pokazać, ale przede wszystkim ich znam. Natomiast gdyby poprosiłby mnie o to ktoś inny, miałbym z tym kłopot. Nie mam dość doświadczenia, nie eksperymentowałem z tym aż tak bardzo, by zrobić to naprawdę dobrze.

Czego szukasz w fotografii?

Czym się inspirujesz?

Bywa, że przeglądam to, co jest publikowane na Instagramie. Czasem mnie to inspiruje. Obserwuję, jak ludzie eksperymentują, bawią się np. podwójną ekspozycją nakładając kadry dzięki czemu uzyskują niespodziewane, surrealistyczne efekty. To ciekawa zabawa, ale dla mnie bliższa grafice. Zdjęcie to przede wszystkim zastrzymanie czasu, oddanie emocji albo jakiegoś przekazu lub po prostu ładny „widoczek”.

Jak polujesz na udane ujęcie?

Kiedy wychodzę z aparatem w plener robię co najmniej 250 zdjęć. Powtarzam po kilkanaście razy jedno ujęcie, by potem odnaleźć to właściwe. Można by powiedzieć, że jestem trochę roztrzępany i nie do końca wiem czego chcę. Kiedyś chodząc zimą po lesie długo szukałem dobrego ujęcia, kiedy niespodziewanie na niebie pokazał się samolot. Tak po prostu. Początkowo nawet nie zwróciłem na niego uwagi. W ten spontaniczny

sposób powstało jedno z moich ulubionych zdjęć, do którego lubię wracać. Pracuję nad tym, by fotografować w bardziej uporządkowany sposób. Chciałbym wiedzieć jakiego kadru chcę, zrobić jedno, a nie kilkanaście zdjęć tego samego, i być z niego zadowolony. Może uda mi się kiedyś to osiągnąć.

Miejsca, które odwiedzasz z aparatem w jakiś sposób wcześniej sobie upatrujesz?

Wybór jest całkowicie spontaniczny. W jedno miejsce nie wracam częściej niż dwa razy. Szukam nowych, nieogranych kadrów. Fotografia stała się dla mnie niepostrzeżenie formą aktywności fizycznej, bo choć kiedyś lubiłem spacerować z czasem to zaniedbałem.

Dzielisz się szerzej swoimi zdjęciami?

Mam swój mały profil na Instagramie. Publikuje tam swoje ulubione zdjęcia w formie albumu, co jest jakąś formą uporządkowania dużej liczby zdjęć „porozrzucanych” po komputerze. Kiedyś miałem pomysł, by wysłać swoje zdjęcie na konkurs fotograficzny. Jeżdżąc do pracy mijałem codziennie stojącą na wzniesieniu szopę. Pomyślałem, że ciekawie prezentowałaby się nocą na tle gwiazd, a może nawet na tle drogi mlecznej. Pamiętam, wstałem któregoś poniedziałku o trzeciej w nocy polując na bezchmurne niebo. Zrobiłem to zdjęcie, choć nie do końca takie jakie chciałem, bo okazało się, że na tej części nieba widoczna była łuna światła z nadległego miasta. Konkurs, na który je wysłałem okazał się mieć niestety niezbyt transparentne reguły, więc nie miałem jakichś nadziei na sukces, ale pozostała mi satysfakcja i zadowolenie z tego co zrobiłem. Z tego zdjęcia i tej niedospanej nocy, po której trzeba było przecieć o szóstej wstawać do pracy.

Wolisz fotografię czarno-białą czy kolorową?

To zależy. Zazwyczaj robię zdjęcia w kolorze, ale jedna z moich ulubionych serii zdjęć jest właśnie czarno-biała. Z kolorem można oczywiście eksperymentować, ale w tym względzie mam w sobie dużo nieśmiałości. Po prostu za krótko się tym zajmuję.

Niemniej, podejrzewam, że coraz bardziej cię to wciąga...

Po zakupie drugiego obiektywu trudno się tego wyprzeć.





Rośliny które polują



FOTO: Mucholówka amerykańska. Adobe Stock.

Fascynujący świat mięsożernych strategów

mgr inż. HUBERT RYDZEWSKI – Ogród Botaniczny UMCS

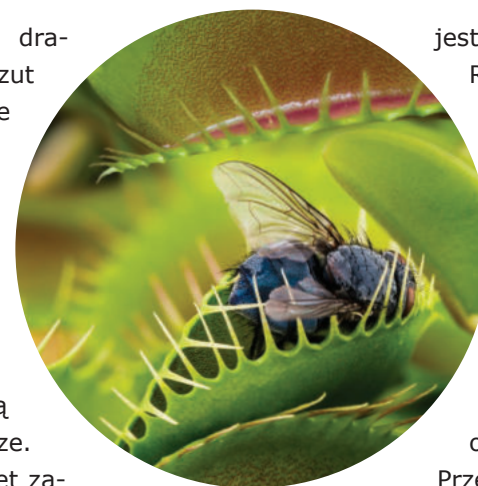
Czy roślina może być drapieżnikiem? Na pierwszy rzut oka wydaje się to sprzeczne z naturą. Rośliny kojarzymy przede wszystkim z samożywnością, fotosyntezą i pobieraniem wody z podłoża. Tymczasem istnieją gatunki, które wytwarzają pułapki, chwytają zwierzęta, trawią ich ciała i wykorzystują uwolnione składniki odżywcze. Niektóre z nich potrafią nawet zamknąć pułapkę w ułamku sekundy albo zassać ofiarę szybciej, niż jesteśmy w stanie dostrzec gołym okiem. Jednak im dokładniej przyglądamy się tym organizmom, okazuje się, że odpowiedź na pozornie proste pytanie „co jest rośliną mięsożerną?” nie jest oczywista.

Nie każda roślina, która zabija, jest mięsożerna.

Aby uznać roślinę za mięsożerną, nie wystarczy stwierdzić, że uśmierca np. owady. Musi spełniać trzy podstawowe warunki: chwycić i zabić zdobycz, trawić ją oraz czerpać korzyści ze składników uwolnionych z ciała. Ofiarami mogą być owady, pajęczaki, ale także skorupiaki, inne bezkręgowce wodne i glebowe, pierwotniaki, a w przypadku największych pułapek nawet jaszczurki, drobne ptaki czy gryzonie. Dlatego określenie „rośliny owadożerne” jest zbyt wąskie. Co ciekawe, zdobycz nie jest tym roślinom bezwzględnie niezbędna do życia. Wiele z nich może rozwijać się bez obecności ofiar, jednak dzięki dodatkowej porcji azotu, fosforu i innych substancji odżywczych rosną szybciej i skuteczniej się rozmnażają.

A co z roślinami, które tylko zabijają?

W świecie botaniki istnieje szczególnie interesująca grupa roślin, które można określić mianem „morderczych”. Nie są one mięsożerne, ponieważ nie wykorzystują ciał zdobyczy jako źródła składników pokarmowych. Dobrym przykładem



jest pustynny *Eucnide urens*. Roślina pokryta jest kolcowatymi włoskami, które mogą zabijać owady. Nie „zjada” tych ofiar - po prostu je zabija. Podobnie zachowują się niektóre gatunki z rodziny martyniowatych, m.in. *Ibicella lutea*, *Proboscidea louisianica* i *P. parviflora*. Ich lepkie liście potrafią być oblepione martwymi owadami.

Przez długi czas przypuszczano, że rośliny te wykorzystują zdobycz jako „pokarm”. Badania wykazały jednak, że nie uzyskują z niej składników odżywczych. Lepka powierzchnia liści służy przede wszystkim jako ochrona przed roślinożercami. Jeszcze bardziej drastyczny przykład stanowi krewna ananasa *Puya raimondii*, której kolce mogą śmiertelnie zranić ptaki. Z kolei drzewo tropikalne *Pisonia grandis* wytwarza niezwykle lepkie nasiona. Mają zdolność przyklejania się do piór ptaków co znacznie zwiększa zasięg rozsiewania, ale nagromadzone nasiona mogą niekiedy unieruchamiać i w konsekwencji zabijać ptaki. Roślina może więc być zabójcą, nie będąc drapieżnikiem.

Sześć sposobów na schwytanie ofiary.

Różnorodność pułapek wśród roślin mięsożernych jest zdumiewająca. Można jednak wyróżnić pięć podstawowych mechanizmów.

1. Pułapki klejowe.

To odpowiednik naturalnego lepu na owady. Liście gatunków tłustoszy pokryte są gruczołami wydzielającymi lepką substancję, do której przyklejają się drobne organizmy. Jeszcze bardziej efektywne są rośliny zaopatrzone we włoski zakończone gruczołami wydzielającymi lepką substancję. Wymienić wśród nich można rosiczki, tulifiszki, byblisy i rosolistnik. U rosiczek (*Drosera*) włoski robią coś więcej niż tylko chwytanie ofiary. Po kontakcie ze zdobyczą mogą się wyginać, zwiększając powierzchnię kontaktu, a roślina oblepia zwierzę lepką wydzieliną.



Drosera capensis - Rosiczka przylądkowa



Rosiczka przylądkowa - forma biała



Pinguicula lusitanica - Tłustosz lużytański



Heliamphora sp. - Heliamphora

2. Pułapki dzbankowe.

W tym przypadku liście zostają przekształcone w zbiorniki, do których wpadają ofiary. Dzbanki mogą wabić zwierzęta kolorem, zapachem a nawet nektarem. Wnętrze pułapek często jest śliskie i pokryte woskiem, dlatego ofiara ma ogromny problem z wydostaniem się na zewnątrz. Tak działają między innymi dzbaneczniki, kapturnice, darlingtonie, heliamfory i cefalotusy. W zależności od rodzaju zdobycza może utonąć w cieczy znajdującej się na dnie albo zostać uwięziona w kielichu pozbawionym wody.

3. Pułapki jednokierunkowe.

U gatunków z rodzaju *Genlisea* ofiary - głównie pierwotniaki - wchodzą do spiralnie skręconych, podziemnych struktur. Włoski skierowane do wewnątrz pozwalają im przesuwac się tylko w jednym kierunku.

4. Pułapki zatraskowe.

Najbardziej znanym przykładem jest oczywiście muchołówka amerykańska (*Dionaea muscipula*). To jedna z niewielu roślin, której zamykanie pułapki można obserwować gołym okiem. Ofiara dotyka włosków czuciowych, a dwa płaty liścia gwałtownie się zamykają. Mechanizm nie polega na prostym „złożeniu” liścia. Zmiana kształtu powierzchni komórek powoduje błyskawiczne wygięcie obu części pułapki. Podobny mechanizm wykorzystuje występująca w Polsce *aldrowanda pęcherzykowata*.

5. Pułapki zasysające.

Jeszcze bardziej niezwykle są pułapki pływacza. Roślina wypompowuje wodę z zamkniętej komory, tworząc w jej wnętrzu podciśnienie. Gdy drobny bezkręgowiec uruchomi mechanizm, pułapka otwiera się i zasysa wodę wraz z ofiarą. Proces zachodzi tak szybko, że nawet bardzo czułe kamery mogą mieć problem z uchwyceniem tej chwili.

Roślinny odpowiednik żołądka.

Samo złapanie zdobyczy to dopiero połowa sukcesu. Trzeba jeszcze z niej wydobyć składniki odżywcze. Rośliny mięsożerne robią to na kilka sposobów. Wydzielają kwasy i enzymy trawienne, które rozkładają białka oraz inne związki organiczne. Uwolnione składniki, między innymi azot i fosfor, mogą następnie zostać wchłonięte przez wyspecjalizowane tkanki. Ale nie wszystkie rośliny wykonują całą pracę samodzielnie.

Tuliężka (*Roridula*) jest szczególnie interesującym przykładem. Chwyta owady, ale w trawieniu pomagają jej pluskwiaki z rodziny zajadkowatych. Owady te wysysają zawartość ciał ofiar, a następnie wydają na powierzchnię liści substancje, które roślina może wykorzystać. Podobną współpracę z mikroorganizmami obserwuje się u innych roślin mięsożernych. W dzbankach wypełnionych wodą mogą żyć bakterie, larwy owadów czy inne drobne organizmy. Z punktu widzenia rośliny nie zawsze ma sens

inwestowanie dużej ilości energii w produkcję enzymów, jeśli inni mieszkańcy pułapki mogą wykonać część pracy za nią.

Niektóre rośliny są mięsożerne tylko „pół na pół”. Nawet gdy uznamy już, że dany gatunek jest mięsożerny, pojawia się kolejne pytanie: czy jest on przez całe życie? Nie zawsze. *Triphyophyllum peltatum* może w określonych warunkach wytwarzać liście przystosowane do chwytania zdobyczy, ale w innych wypuszcza zwykłe liście. Wszystko zależy od dostępności składników odżywczych. Podobne strategie spotykamy u części rośliczek i kapturnic. Niektóre gatunki sezonowo zastępują pułapkowe liście strukturami przeznaczonymi głównie do fotosyntezy. Także dzbaneczniki potrafią „zrezygnować” z polowania. Gdy warunki są niekorzystne - na przykład temperatura lub wilgotność odbiega od optymalnej albo roślina otrzymuje wystarczającą ilość składników odżywczych - nowe liście mogą nie wytwarzać dzbanków. To elastyczna strategia gospodarowania energią.

Cena mięsożerności.

Bycie rośliną mięsożerną ma swoją cenę. Typowa roślina pozyskuje energię dzięki fotosyntezie, a wodę i sole mineralne pobiera przede wszystkim z podłoża. Roślina mięsożerna musi dodatkowo inwestować energię w tworzenie i utrzymywanie pułapek. Co więcej, pułapki często nie są dobrymi organami fotosyntetycznymi.

Niektóre, na przykład u pływaczy czy dzbaneczników, prowadzą bardzo ograniczoną fotosyntezę albo nie prowadzą jej wcale. Inne są wprawdzie zielone, ale ich kształt i orientacja są podporządkowane łapaniu ofiar, a nie maksymalnemu wykorzystaniu światła. Wiele gatunków ma również nietypowe systemy korzeniowe. *Genlisea*, *Utricularia* i *Aldrovanda* w ogóle nie mają korzeni. U innych korzenie są niewielkie i służą głównie do przytwierdzenia rośliny oraz pobierania wody. To niezwykle kompromis ewolucyjny: roślina rezygnuje z części możliwości typowych dla swoich krewniaków, aby zyskać dostęp do alternatywnego źródła składników odżywczych. Dlaczego więc w ogóle rośliny mięsożerne potrzebują zdobyczy? Odpowiedź kryje się w miejscach, które zasiedlają a dla większości innych roślin są niemal biologiczną pustynią. Rośliny mięsożerne często rosną w środowiskach ubogich w azot i fosfor. Mogą to być kwaśne torfowiska wysokie, mokradła, ubogie piaski czy niektóre środowiska wodne. W takich warunkach roślina, która potrafi zdobyć brakujące pierwiastki, utrzymuje przewagę nad konkurencją. Zdobycza nie zastępuje fotosyntezy - dostarcza przede wszystkim tych składników, których szczególnie brakuje w środowisku. W badaniach nad lądowymi roślinami mięsożernymi zaobserwowano różne strategie. Niektóre gatunki korzystają zarówno ze składników pobieranych przez korzenie, jak i z tych



Nepenthes sp. - Dzbanecznik

zdobywanych za pośrednictwem pułapek. Inne w znacznie większym stopniu polegają na zdobywaniu. U roślin wodnych zależność może być jeszcze silniejsza. W ubogiej w azot i fosfor wodzie zdobycie może być warunkiem nie tylko wzrostu, ale również rozmnażania.

Ewolucja mięsożerności nie jest więc historią o roślinach, które „stały się lepsze” od pozostałych. Wręcz przeciwnie - można ją postrzegać jako historię niezwyklego kompromisu. Roślina, która zaczyna inwestować energię w produkcję pułapek, musi znaleźć sposób na zrekompensowanie kosztów ich wytwarzania i utrzymania. Jeśli pułapka ogranicza fotosyntezę albo system korzeniowy traci część swojej funkcji, zdobywanie składników odżywczych ze zwierząt musi przynieść wystarczającą korzyść. Dlatego mięsożerność można traktować jako rodzaj ewolucyjnej pułapki: wyspecjalizowana roślina zyskuje możliwość życia w środowisku, którego inne gatunki nie potrafią dobrze zasiedlić, ale jednocześnie staje się bardziej zależna od specyficznych warunków.

Fascynacja, która zaczyna się od pułapki.

Rośliny mięsożerne łączą w sobie cechy, które zwykle przypisujemy zupełnie innym organizmom: polowanie, wabienie, chwytanie i trawienie zdobyczy. Jednocześnie pozostają roślinami – prowadzą proces fotosyntezy, rosną, kwitną i wydają nasiona. Ich niezwykłość



Dionaea muscipula - Mucholówka amerykańska

nie polega więc wyłącznie na tym, że „jedzą owady”. Najciekawsze jest to, że ewolucja wielokrotnie znalazła sposób na rozwiązanie tego samego problemu: jak zdobyć niezbędne składniki odżywcze w środowisku, w którym brakuje ich w glebie lub wodzie. Od lepkiej rośliczki, przez pełne enzymów dzbanki dzbanecznika, aż po błyskawicznie zatrzaskującą się mucholówkę i niemal mikroskopijne pułapki pływacza - każda z tych roślin opowiada inną wersję tej samej historii. Nie każda roślina, która zabija, jest mięsożerna. Ale każda prawdziwie mięsożerna roślina pokazuje, jak daleko może posunąć się ewolucja, gdy brakuje tego, czego organizm potrzebuje najbardziej.

mgr inż. Hubert Rydzewski

Pracownik Ogrodu Botanicznego UMCS, kurator Działu Dendrologii (Arboretum), Działu Roślin Tropikalnych i Subtropikalnych i Działu Roślin Wodnych i Bagiennych.

FOTO: Ze zbiorów Ogrodu Botanicznego UMCS.

Opakowania po nowemu



Nadmiar opakowań na świecie nie od dziś spędza sen z powiek zarówno obrońcom środowiska jak i turystom czy mieszkańcom wielu krajów. Są one oczywiście niezbędne w cyklu produkcji czy konsumpcji wyrobów, ale w wielu przypadkach wymknęły się z spod kontroli i optymalnego zarządzania. Duża część problemów środowiskowych takich jak pływające wyspy odpadów, zanieczyszczenie mikroplastikiem czy zanieczyszczenie „smogiem” w wielu aglomeracjach bierze się właśnie z odpadów opakowaniowych. Po wytworzeniu są często wyrzucane do środowiska albo spalane co truje ludzi i zanieczyszcza środowisko (kraje afrykańskie i azjatyckie). Oczywiście w dużo mniejszym stopniu problemy te dotyczą Unii Europejskiej, ale w wielu miejscach na świecie skala jest zatrważająca.

Oczekiwana zmianą w Unii Europejskiej, która ma zmniejszyć negatywne oddziaływanie opakowań jest Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2025/40 z dnia 19 grudnia 2024 r. w sprawie opakowań i odpadów opakowaniowych czyli w skrócie PPWR (Packaging and Packaging Waste Regulation). Zastępuje ono dyrektywę 94/62/WE, która była przyjęta ponad 30 lat temu. Dyrektywa wymagała wdrożenia do prawa krajowego, a nowe rozporządzenie ma zastosowanie bezpośrednio do wszystkich państw członkowskich UE.

PPWR to przepisy, które porządkują zasady dotyczące opakowań w całej Unii Europejskiej, wzmacniając nacisk na ograniczanie odpadów, recykling oraz ponowne użycie. Zmienia się sposób widzenia opakowania w całym cyklu jego życia, a dla firm oznacza to nowe obowiązki, w tym konieczność dostosowania surowców, projektów opakowań i etykiet, logistyki oraz dokumentacji. Nowe prawo opakowaniowe obejmuje wszystkie opakowania wprowadzane na rynek UE – zarówno opakowania metalowe, papierowe, jak i z tworzyw sztucznych używane w handlu detalicznym, usługach czy gospodarstwach domowych.

Głównym celem nowych przepisów jest przede wszystkim ograniczenie masy opakowań i odpadów opakowaniowych, zmniejszenie zużycia surowców pierwotnych przy ich produkcji, zwiększenie udziału recyklatów oraz wsparcie

gospodarki obiegu zamkniętego (GOZ). Rozporządzenie określa m.in. konieczność ujednoliconego znakowania opakowań, sposoby redukcji zbędnych opakowań i ich projektowanie pod kątem recyklingu.

W związku z tym kończy się czas kosmetyków sprzedawanych w małych ilościach zapakowanych w duże opakowania czy elektroniki opakowanej folią czy tekturą, która waży znacznie więcej niż sam produkt. Zmienia się półki sklepowe i cała logistyka sprzedaży. Nie od razu, bo przewidziano okresy przejściowe dla producentów, które zagwarantują rozłożoną w czasie i mniej bolesną operację na opakowaniach. Wybrane terminy i działania przedstawiono poniżej:

- do 2028 r. ma zostać wprowadzone ujednolicone oznakowanie opakowań,
- do 2030 r. co najmniej 70% odpadów opakowaniowych ma zostać poddanych recyklingowi, wszystkie opakowania muszą być projektowane jako nadające się do recyklingu, a maksymalna pusta przestrzeń w opakowaniach e-commerce ma wynieść 50%,
- w 2040 r. zawartość recyklatu w opakowaniach z tworzyw sztucznych ma wynieść nawet do 65%.

Nowe prawo spowoduje m.in., że od sierpnia 2028 r. na opakowaniach pojawi się ujednolicona unijna etykieta z piktogramami (w każdym kraju UE taka sama), które mają pomóc w segregacji odpadów. Czy nowe prawo ograniczy wzrost masy stosowanych opakowań w UE dowiemy się za kilkanaście lat. Jedno jest pewne, że producenci opakowań, importerzy czy dystrybutorzy muszą zmienić swoje dotychczasowe nawyki przy zarządzaniu firmami. Czy będzie to początkiem zmniejszania presji opakowań na środowisko na świecie to już zależy od tego czy wysokie standardy w UE zostaną przyjęte przez inne kraje takie jak Chiny, Indie czy USA.

dr Adam Lesiuk

Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMCS
Fundacja dla Przyrody



BIELIK

władca przestworzy

Bielik zwyczajny (*Haliaeetus albicilla*) należy do rzędu szponiastych oraz rodziny jastrzębiowatych. Na świecie występują zaledwie cztery gatunki z tego rodzaju: bielik zwyczajny (Eurazja), bielik amerykański (Ameryka Północna), bielik wschodni (Azja) i bielik olbrzymi (Azja). Co ciekawe, bieliki nie są orłami właściwymi, tylko orłanami (czyli tzw. „orłami morskimi”), więc zapis „orzeł bielik” jest błędny pod względem systematycznym. Niektóre analizy filogenetyczne wskazują, że mogą być one bliżej spokrewnione z kaniami, niż np. z orłem przednim. Jedną z podstawowych cech odróżniających orłany od orłów właściwych z rodzajów *Aquila* i *Clanga* jest naga, nieopierzona dolna część nogi (tzw. skok).

W dalszej części tego tekstu wrócimy jeszcze do tego ważnego faktu. Poza tym różnią się wyraźnie dietą oraz zdolnościami łowieckimi. Powolniejsze orłany odżywają się w dużej mierze ptakami wodnymi (np. łyski, kaczki), rybami oraz nie gardzą padliną, natomiast głównym pokarmem orłów właściwych są ssaki i ptaki lądowe, które efektywnie (czasami z dużą swobodą i prędkością) chwytają zazwyczaj w locie.

Bielik to olbrzymi ptak – największy spośród wszystkich naszych krajowych ptaków szponiastych. Szczególnie dobrze to jest widoczne w locie. Samice tych majestatycznych ptaków są nieco większe od samców (wyjątek w świecie ptaków), a ich rozpiętość skrzydeł osiąga imponujące 2,5 m, a masa ciała 6 kg. Potężny dziób,

wysunięta głowa, klinowaty ogon oraz olbrzymie, deskowate skrzydła dopełniają widoku i z daleka ułatwiają rozpoznanie gatunku. Szczególnie piękne i widowiskowe są loty tokowe, podczas których partnerzy szczepiają się szponami w locie i mogą wykonywać niesamowite akrobacje powietrzne. To też jedne z najbardziej wokalnych ptaków szponiastych i często w locie na wysokim pułapie odzywają się swoimi metalicznymi seriami wysokich dźwięków: „kyi-kyi-kyi-kyi” lub „kli-kli-kli-kli”.

Jeszcze do końca XX wieku, na skutek prześladowań, zanieczyszczeń i degradacji środowiska bytowania, bielik był dużą rzadkością w naszym kraju. Sto lat wcześniej był nawet na krawędzi wymarcia w Polsce. Dzisiaj śmiało możemy powiedzieć, że bielik (obok np. żurawia, gęgawy czy czapli białej) jest w gronie najbardziej zwycięskich gatunków. Jedna para próbowała zagnieździć się nawet przy Zalewie Zemborzyckim w obrębie granic administracyjnych Lublina, ale ze względu

na zbyt silną presję ludzką zrezygnowała. Objęcie ścisłą ochroną prawną przyniosło spektakularną odbudowę krajowej populacji. Z inspiracji Komitetu Ochrony Orłów od początku lat 1980. wokół drzew gniazdowych wyznacza się strefy ochronne, gdzie nie prowadzi się gospodarki leśnej oraz zakazany jest wstęp postronnych osób. Obecnie w Polsce gniazduje ponad 1 500 par lęgowych, a większość dogodnych środowisk jest zasiedlona. Są już pierwsze oznaki, że nastąpiło wysycenie optymalnych siedlisk, a pośrednia i bezpośrednia konkurencja o zasoby jest coraz wyższa pomiędzy terytorialnymi parami. Ostatnie badania pokazują, że rekolonizacja i ekspansja na zasiedlane dawniej tereny lęgowe mogą mieć poważne konsekwencje dla populacji wielu gatunków ptaków, m. in. na występowanie nie tylko bezpośrednich ofiar (np. kaczek), ale też innych dużych ptaków, takich jak bocian czarny czy bocian biały. Ornitolodzy zaobserwowali, że tam, gdzie powracają po latach bieliki



FOTO: Adobe Stock.

niektóre pary bocianów opuszczają swoje stowiska lęgowe (tzw. krajobraz strachu).

Bielik jest znany z budowania olbrzymich gniazd, najczęściej 15-30 metrów nad ziemią. Jest on wierny swoim rewiom lęgowym oraz drzewom, na których gniazduje (jeśli nie jest niepokojony) przez wiele lat, dobudowując corocznie kolejne warstwy patyków. Jeśli wytrzymałość i pokrój korony drzewa temu pozwala, wysokość platformy gniazdowej może przekroczyć nawet 3 m, a masa — jedną tonę. W polskich lasach takich olbrzymich drzew, które są w stanie udźwignąć taki ciężar, nie jest zbyt dużo, choć na szczęście na Lubelszczyźnie funkcjonują takie gigantyczne konstrukcje, np. w dolinie dolnego Wieprza.

Czy bielik jest pierwowzorem polskiego godła? To bardzo wrażliwa kwestia, która wciąż wzbudza silne dyskusje i kontrowersje wśród ornitologów, historyków i heraldyków. Cześć badaczy uważa, że to właśnie bielik był tą inspiracją. Oponenci podkreślają, że wizerunek ptaka w polskim godle posiada cechy anatomiczne i symboliczne, które jednoznacznie wskazują raczej na orła przedniego lub na czysto symboliczną kreację heraldyczną. Ptak w naszym godle ma opierzone nogi (skoki), co jak wiemy nie jest cechą bielika. Bielik, jako ptak polujący głównie na ryby i często żywiący się padliną, w średnio-wiecznej hierarchii i kulturze rycerskiej nie cieszył się tak wielkim szacunkiem. Niektórzy naukowcy, opierając się na jeszcze starszych podobiznach, wskazują na inne gatunki, np. rybołowa lub nawet mewę. Na obecnym etapie wiedzy wydaje się, że jest to spór, którego nie da się jednoznacznie rozstrzygnąć.

Gdzie najłatwiej spotkać i obserwować te piękne ptaki na Lubelszczyźnie? Bieliki chętnie polują nad dużymi akwenami wodnymi, np. jeziorami i stawami rybnymi. Ważnym elementem ich terytoriów są starodrzewy, w tym duże

i okazałe drzewa, na których chętnie przesiadają i odpoczywają. Szczególnym miejscem dla nich w naszym regionie są stawy w Siemieniu, gdzie jesienią na spuszczonej dnach zbiorników wodnych bieliki koncentrują się w luźnych skupiskach. Stawy rybne w Siemieniu są jednym z najważniejszych miejsc koncentracji tego gatunku w okresie pozalęgowym. Jest to jedna z najważniejszych ostoi ptaków o znaczeniu między-

narodowym w Polsce. W 1998 roku teren ten został objęty ochroną w formie zespołu przyrodniczo-krajobrazowego (621 ha), a w 2004 roku utworzono tu obszar specjalnej ochrony ptaków NATURA 2000 „Dolina Tyśmienicy” PLB 060004 (7 364 ha). Na obszarze tym stwierdzono ponad 240 gatunków ptaków, w tym ponad 115 lęgowych. Zapraszamy wszystkich Czytelników „Ekogadki” na transmisję ze stawów rybnych w Siemieniu. Jesienią woda ze stawów jest spuszczana i w miejscu, gdzie umieściliśmy kamerę, powstaje wyspa. Spodziewamy się wielu ptasich gości, w tym bielików, które licznie żerują tu od lat. Przylegające do stawów Lasy Parczewskie są miejscem gniazdowania tego gatunku. Jesienią w czasie spuszczenia stawów skupiska liczące do 50 tych pięknych i majestatycznych ptaków szponiastych nie są niczym niezwykłym. Odczyty z obrączek wskazują, że przylatują tu bieliki z wielu krajów Europy Środkowej i Północnej.

Marcin Polak
Katedra Zoologii
i Ochrony Przyrody UMCS
Fundacja dla Przyrody

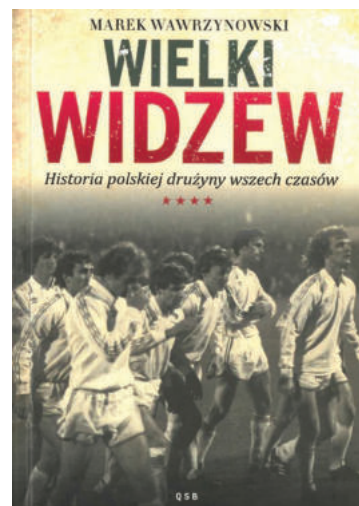


Link do transmisji
na żywo ze stawów
w Siemieniu >



FOTO: Adobe Stock.

Udostępnione przez Wydawnictwo SQN



RECENZJA ADAM PRZYSTUPA

Warto przeczytać

Marek Wawrzynowski

„Wielki Widzew. Historia

polskiej drużyny wszechczasów.”

Wydawnictwo SQN

Mówiąc językiem filmowym to wysokiej klasy kino gatunkowe. Jedną z najlepszych książek o polskim futbolu w zgodnej ocenie czytelników, recenzentów, ale też kolegów po piórze Marka Wawrzynowskiego, o co w tym pulsującym ambicją i często podzielonym środowisku nie łatwo. Co istotne, opowieść o piłkarskiej drużynie łódzkiego Widzewa z lat osiemdziesiątych to świetnie napisany reportaż, co czyni tę książkę przystępną i interesującą nie tylko dla miłośników futbolu.

Czym był ówczesny Widzew? Drużyną, która z nicości („Gdy nowy trener po raz pierwszy minął drewnianą trybunę i wszedł na boisko, zobaczył gospodarza obiektu wypuszczającego na murawę owce. Od kosiarki były tańsze, ale i skuteczniejsze”) wspięła się na szczyt kontynentalnego futbolu. Półfinał ówczesnego Pucharu Europy to przecież odpowiednik półfinału dzisiejszej Ligi Mistrzów. Drużyną, która potrafiła eliminować z europejskich pucharów takie firmy jak Manchester United, Juventus Turyn czy Liverpool, w okresie ich świetności. Drużyną, która u progu swej historii, złożona była z zawodników i trenerów odrzuconych, wykluczonych, ba nawet poniżonych. Nie będzie przesadą, gdy nawiązując do filmu Roberta Aldricha nazwiemy ich piłkarską „parszywą jedenastką”. Jak pisze autor „W Widzewie zebrała się grupa ludzi z urażoną ambicją i właśnie ta ambicja, wręcz chorobliwa, była od początku podstawą budowy drużyny”. Ta, swym „widzewskim charakterem” zyskała wówczas sympatię w całym kraju. Dość wspomnieć, że chętnych na zakup biletów na mecz z Liverpooliem było przeszło 200 tysięcy.

Dla tych, którzy pamiętają, jest to bez wątpienia podróż sentymentalna. Młodszym, serwuje Marek Wawrzynowski zaskakująco żywą i barwną opowieść o ludzkich ambicjach, słabościach, wzlotach i upadkach. Jakże odmienną od tej, jaką na co dzień karmią nas współczesne media opowiadające o sporcie. Lektura „Wielkiego Widzewa” zda się dobrą odtrutką na słowotok przeliczających transferowe kwoty i reklamowe ekwiwalenty ekspertów, przesył niewiele wnoszących statystyk i plotek o żonach i dziewczynach zawodników. Szum, w którym umykają prawdziwe historie, takie jak ta o toczonych z czterdziestostopniową gorączką bojach skrzydłowego Widzewa Wiesława Wragi z Borussią Mönchengladbach. Meczach okupionych przez 22-latkę ciężką chorobą serca („W takich chwilach sam na sam z własnym strachem przestaje się być twardym. Nieraz płakałem jak dzieciak. Byłem tak opuchnięty od tych lekarstw, że nawet sąsiad na schodach mnie nie poznawał”).

Historii, wobec których trudno pozostać obojętnym jest w książce Wawrzynowskiego więcej. Otwierająca książkę opowieść o zmarłym synie Wiesława Chodakowskiego, splecione losy bramkarza Zbigniewa Burzyńskiego, czy wreszcie „kawkowskie” zgoła perypetie Kazimierza Zbrocha. Uśmiech na ustach krzeszą anegdoty o niezamierzonym wspólnym sylwestrze rywalizujących ze sobą łódzkich drużyn czy też Krzysztofie Surlicie zaprzysięgającym zemstę na jednym ze znanych dziennikarzy sportowych. A przecież na tej nieretusowanej zbiorowej fotografii jest też miejsce dla postaci budzących tak wielkie emocje jak twórca potęgi Widzewa Ludwik Sobolewski, jego „prawa ręka” Stefan Wroński, trenerzy Leszek Jezierski, Jacek Machciński, Bronisław Waligóra, czy wreszcie piłkarze od Zbigniewa Bońka przez Józefa Młynarczyka, Włodzimierza Smolarka, Władysława Żmudę, Mirosława Tłokińskiego po Dariusza Dziekanowskiego.

Niezdeterminowanym pozostaje zacytować opinię śp. Pawła Zarzecznego: „Czyta się znakomicie, aż żal, że to już koniec.”

PUSZKA PET

Wyzwanie dla systemu kaucyjnego i recyklingu

ADAM PRZYSTUPA

Na półkach polskich sklepów pojawiły się napoje w opakowaniach, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak puszk. Po bliższym przyjrzeniu okazuje się jednak, że ich korpus wykonano z tworzywa PET, zaś wieczko z aluminium. Konstrukcja wzbudziła emocje branży odpadowej, ponieważ nie wpisuje się wprost w kategorie objęte polskim systemem kaucyjnym. Czy mamy do czynienia z nowym sposobem na ominięcie kaucji?

Pomysł starszy od systemu kaucyjnego

Opakowanie określane jako puszka PET (PET can) jest opakowaniem wielomateriałowym łączącym korpus wykonany z tworzywa – przede wszystkim PET – z typowym aluminiowym wieczkiem easy-open stosowanym w puszkach na napoje. Dla konsumenta różnica może być niemal niezauważalna, szczególnie jeżeli korpus zostanie pokryty etykietą.

Wbrew temu co można by sądzić puszka PET nie jest czymś nowym. Podobne rozwiązanie było testowane w Stanach Zjednoczonych już ponad 40 lat temu. 15 października 1985 r. „Los Angeles Times” informował, że Coca-Cola rozpoczyna w Columbus w stanie Georgia test rynkowy 12-uncjowego, czyli ok. 355 ml, opakowania wykonanego z przezroczystego tworzywa i zamkniętego aluminiowym wieczkiem. W plastikowych puszkach sprzedawano Coca-Colę, Coca-Cola Classic, Diet Coke oraz Sprite. Nie był to wyłącznie eksperyment laboratoryjny.

Petainer Development Co., działający wspólnie z Coca-Colą, przygotowywał w Atlancie zakład wyposażony w urządzenia umożliwiające produkcję plastikowych puszek, gdyby test rynkowy zakończył się sukcesem. Testy prowadzone w latach 1986-1987 doprowadziły do rezygnacji z projektu z uwagi na trudności z recyklingiem nowego opakowania. Problem, o którym dyskutujemy dziś w Polsce – połączenie dwóch wartościowych materiałów w opakowaniu niedopasowanym do istniejących systemów recyklingu – został dostrzeżony w USA już około 40 lat temu.

Puszka PET nie pozostała wyłącznie historycznym eksperymentem. Po wycofaniu się Coca-Coli linię Petainera zakupiła w 1989 r. japońska firma Yamamura, ale ze względu się ówczesne japońskie regulacje, które dopuszczały stosowanie PET do napojów o pojemności większej od 1 litra, również tam nie rozpoczęto masowej produkcji. Do pomysłu powrócono na początku obecnego stulecia w Stanach Zjednoczonych, Azji i Europie, w tym

w Polsce. W 2015 r. prasa branżowa donosiła o uruchomieniu przez Invento Group w Gardnie pod Szczecinem zakładu przeznaczonego do produkcji puszek PET w oparciu o patent uzyskany w 2003 r. Zakład projektowano na 160 mln opakowań rocznie.

Warto zwrócić uwagę, że dziś wielomateriałowa puszka, to tak naprawdę dwa produkty. Pierwszy z nich to przemysłowa puszka PET

konkurująca z klasyczną puszką metalową. Opakowanie musi wytrzymywać ciśnienie napojów gazowanych, a jego kołnierz jest przystosowany do mechanicznego połączenia ze standardowym aluminiowym wieczkiem. Drugi to dedykowana dla gastronomii, popularna szczególnie w Azji, puszka PET przeznaczona na napoje typu bubble tea, milk tea, cold brew, soków, smoothies, napoje z kawałkami owoców, oraz desery i produkty food-to-go. Tego typu puszka PET nie musi spełniać wymogów ciśnieniowych i może być napełniana i zamykana w lokalach gastronomicznych.

Problem z recyklingiem

Z punktu widzenia producenta opakowanie ma kilka atrakcyjnych cech. PET jest lekki, pozwala uzyskać przezroczysty korpus i daje dużą swobodę jego kształtowania. Standardowe aluminiowe wieczko zachowuje natomiast sposób otwierania dobrze znany konsumentowi z tradycyjnej puszki. Przezroczystość może być dodatkową zaletą marketingową – szczególnie w przypadku kolorowych napojów, soków czy napojów zawierających widoczne składniki.

Problem zaczyna się jednak wtedy, kiedy opakowanie staje się odpadem. Opakowanie zbudowane z dwóch nierozłącznie związanych ze sobą materiałów trudno efektywnie poddać recyklingowi. W Polsce nie funkcjonuje instalacja, która mogłaby podołać temu zadaniu. W efekcie aluminium, najcenniejszy z surowców, z którego wykonane jest wieczko przestaje być efektywnie odzyskiwane. Nie odzyskujemy też tworzywa – zanieczyszczone metalem trudno zagospodarować jako pełnowartościowy surowiec wtórny. Aluminium obecne w strumieniu PET zużywa elementy tnące rozdrabniaczy, trudno skutecznie je wyeliminować na etapie flotacji, podczas granulacji wpływa na zapychanie filtrów i głowic.

Puszka, która wymyka się kaucji

Drugim problemem jest klasyfikacja prawna. Polski system kaucyjny obejmuje m.in. jednorazowe butelki z tworzyw sztucznych do 3 litrów oraz metalowe puszki na napoje do 1 litra. Puszka PET jako opakowanie wielomateriałowe wymyka się tej regulacji. W rezultacie opakowania tego rodzaju pojawiające się obecnie na rynku nie są objęte kaucją, mimo że z perspektywy konsumenta mogą wyglądać niemal tak

samo jak objęta kaucją puszka aluminiowa czy stalowa. Problem został już publicznie podniesiony przez przedstawicieli branży recyklingowej. Rodzi się pytanie, czy obowiązujące dziś przepisy mogą zachęcać producentów do wyboru takiego opakowania? Jeżeli odpowiedź okaże się twierdząca, będziemy mieli do czynienia z klasycznym niezamierzonym efektem regulacji: wybór opakowania może być motywowany nie jego większą recyklowalnością, lecz możliwością pozostania poza systemem kaucyjnym.

Co dalej?

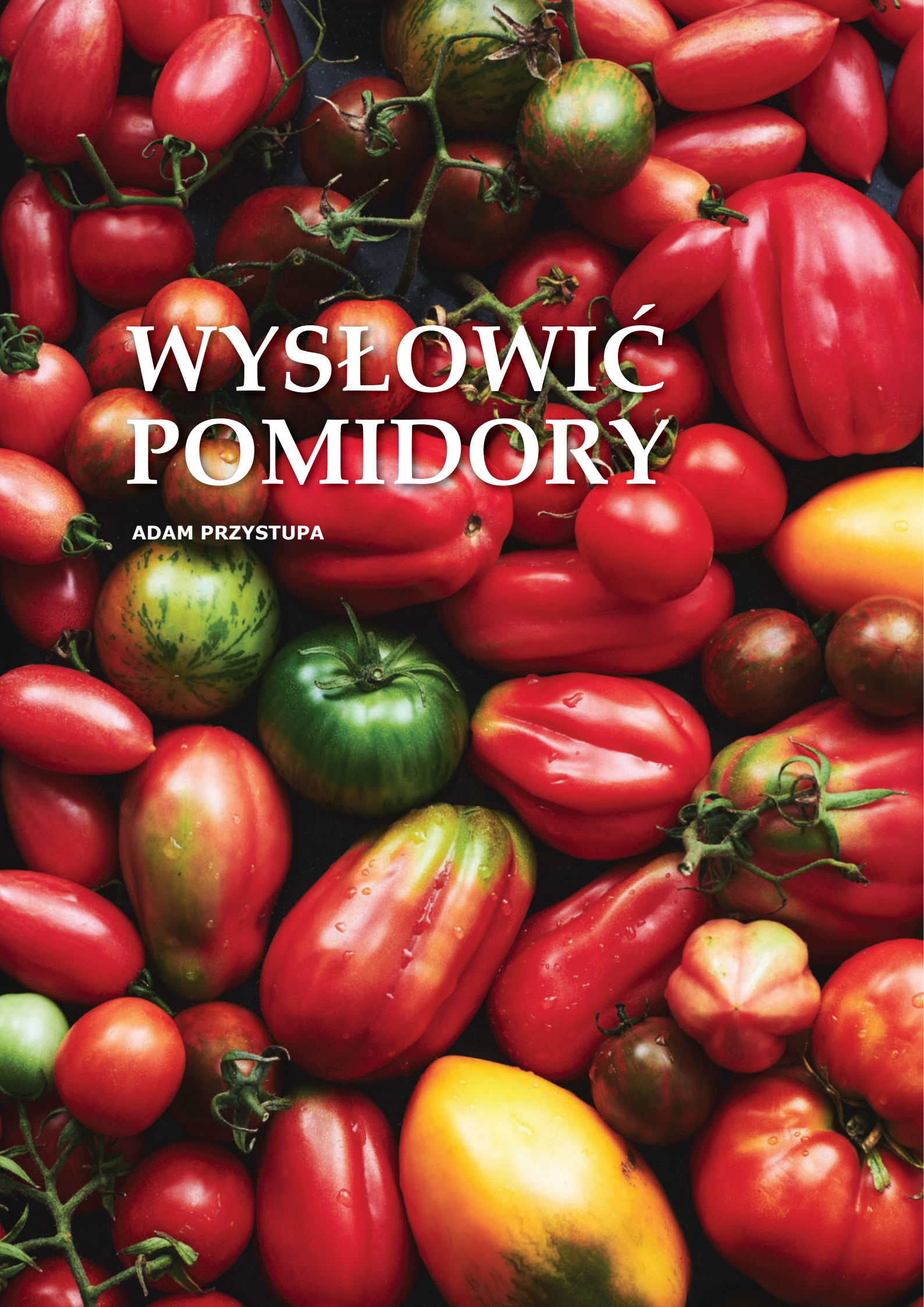
Na razie skala zjawiska w Polsce wydaje się niewielka. W sierpniu 2026 r. media branżowe nadal określają puszkę PET jako rynkową ciekawostkę, wskazując m.in. na importowane napoje azjatyckie. Otwarte pozostaje pytanie o dynamikę ich podaży. Jeżeli korzyść wynikająca z pozostawiania poza systemem kaucyjnym zacznie zwiększać zainteresowanie producentów, nisza dziś strumień może szybko stać się zauważalny dla sortowni i recyklerów.

Przypadek puszki PET pokazuje szerszy problem regulacyjny. Przepisy o gospodarce opakowaniami powinny w możliwie małym stopniu zachęcać producenta do zmiany konstrukcji opakowania wyłącznie w celu znalezienia się poza określoną kategorią prawną. Jeżeli dwa jednorazowe opakowania służą do sprzedaży tego samego rodzaju napoju, mają podobną pojemność i pełnią dla konsumenta identyczną funkcję, trudno uzasadnić sytuację, w której jedno podlega systemowi kaucyjnemu, a drugie nie – szczególnie gdy to drugie może być trudniejsze w recyklingu.

Dlatego dyskusja o hybrydowych puszkach nie powinna sprowadzać się jedynie do zarzutu „omijania kaucji”. Znacznie ważniejsze jest pytanie o projektowanie opakowań pod kątem rzeczywistego recyklingu oraz o kształt i efektywność systemu rozszerzonej odpowiedzialności producenta, w którym muszą zostać uwzględnione opakowania wielomateriałowe wraz z modulacją stawek premiującą rozwiązania jednomateriałowe i łatwe w recyklingu.

FOTO: Adobe Stock.





WYSŁOWIĆ POMIDORY

ADAM PRZYSTUPA

Kiedy będziecie czytać ten tekst sezon na polskie pomidory mieć się będzie zapewne już ku końcowi. Jak co roku zyska na aktualności niezapomniana piosenka Jerzego Wasowskiego z tekstem Jeremiego Przybory. „Addio pomidory, addio ulubione” zanucimy za Wiesławem Michnikowskim, tęskniąc za tym niezwykle warzywem, smakiem i soczystością dystansującym niejedną z owoców. Nieprawda - zakrzykną botanicy - pomidor jest owocem, ba nawet jagodą! Z punktu naukowego będą mieli rację, ale na polu kulinarnym powszechnie zwykło się mówić o nim jako o warzywie. Co ciekawe, spór o to czym jest pomidor w 1893 r. rozstrzygał Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych w sprawie wytoczonej przez Johna Nixa przeciwko Edwardowi L. Heddenowi, poborcy celnemu portu w Nowym Jorku. Szło o to, czy dostarczający pomidory Nix winien płacić cło przypisane do warzyw, czy też skorzysta ze zwolnienia przynależnego wówczas owocom. W tej sprawie sąd przychylił się do zdania liczniejszej zda się grupy traktującej zwyczajowo pomidor jako warzywo.

Historia uprawy pomidora to niezwykła, rozpięta między kontynentami opowieść nie tylko o nim samym, ale również o intrygującej wędrówce słów, które starają się opisać jego zalety. Dzicy przodkowie pomidora pochodzą z zachodniej części Ameryki Południowej, przede wszystkim obszaru dzisiejszego Peru i Ekwadoru. Pomidora w formie jaką znamy współcześnie Europejczycy poznali w XVI w. Kiedy Hiszpanie podbili Meksyk, ludy Nahuja, do których należeli Aztekowie, uprawiały już liczne odmiany pomidorów. Nie sposób jednak dowieść, czy to oni je udomowili. Wiemy natomiast, iż w języku nahuatl, jakim się posługiwali, czerwone pomidory nazywali słowem *xītomatl*. Językoznawcy wskazują, iż nazwa ta próbowała oddawać fizyczne właściwości owocu: pozbawiony skóry (*xi*), okrągły i pulchny (*tom*) oraz wodnisty (*atl*). Pozbawiony skóry? Raczej łupiny, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż w języku nahuatl istniało również słowo *tomatl*, używane w odniesieniu do zielonego pomidora w łupinie, określanego dziś jako *tomatillo* czy *miechunka pomidorowa*. Hiszpanie podbiwszy imperium Azteków, wbrew logice, by nazwać nowe czerwone warzywa, przyswoili sobie krótszą nazwę *tomatl*, która w ich języku z czasem przyjęła formę *tomate*. Aztecka nazwa za pośrednictwem Hiszpanów rozprzestrzeniła się na dużą część

Europy. Stąd francuskie *tomate*, angielskie *tomato*, niemieckie *Tomate*, rosyjskie *томат*, a pośrednio również bułgarskie i macedońskie *домат*.

Skąd więc polskie określenie pomidor? Z języka włoskiego. W 1544 r. jako jeden z pierwszych Europejczyków włoski lekarz i botanik Pietro Andrea Mattioli opisał nową roślinę, której owoce dojrzewając przybierały żółty kolor, co nie dziwi, bo i dziś uprawiamy żółte odmiany pomidorów. Stąd we Włoszech utarło się używać nazwy *pomo d'oro* a następnie *pomodoro*, co zwykło się tłumaczyć jako złote jabłko. Swoje nazwy z włoskiego zapożyczyli również Ukraińcy (*помідор*) i Białorusini (*памідор*). Czasem używają go też Rosjanie (*помидор*).

W polskich słownikach i książkach kucharskich słowo pomidor pojawia się w XIX stuleciu, ale jako roślinę ozdobną znaliśmy go już wcześniej. Jak wówczas go zwano? Pewną wskazówkę daje hasło w dwutomowym słowniku języka polskiego z roku 1861, określanym mianem Słownika wileńskiego lub Słownika Orgelbranda. Czytamy w nim: „dawniej zwany jabłkiem miłości v. jabłkiem złotem”. Potwierdzenie tego tropu znajdujemy w Zielniku autorstwa profesor Akademii Krakowskiej, lekarz, botanik, Szymona Syreńskiego (Syreniusza) z 1613 r., gdzie pomidor opisany jest w rozdziale 95, właśnie jako „jabłko miłości, albo złote” (które niektórzy jedzą „z pieprzem, z solą, w oliwie smażąc”).

Są miejsca na mapie, gdzie pomidory zwykło się zwać rajskimi jabłkami. Tu źródłem jest niemieckie, regionalne określenie *Paradiesapfel* oraz bawarsko-austriackie *Paradeis* czy *Paradeiser*. Tłumaczone dosłownie pozostało w języku czeskim jako *rajče*, czy chorwackim jako *rajčica*. Zaadoptowane brzemieniowo rajske jabłko obecne jest w języku słowackim (*paradajka*), słoweńskim (*paradižnik*), oraz jako *paradajz* w serbskim, bośniackim i czarnogórskim.

Mamy więc rajske jabłka, złote jabłka, jabłka miłości a nawet wilcze brzoskwinie, bo tak można tłumaczyć *Lycopersicon esculentum*, dawną łacińską nazwę pomidorów. Najbardziej poetyckim zda się, wszakże to, co skrzesał pod swym piórem Jeremi Przybora pisząc o nich „słoneczka zachodzące za mój zimowy stół”. Cierpliwości. Powróć, by jak pisał chilijski poeta Pablo Neruda w „Odzie do pomidorów”, by w środku lata „bez pestki, bez łupiny, bez liści czy kolców” ofiarować „dar ognistego koloru i chłodnej pełni”.

FOTO: Adobe Stock.

SZEPTY NATURY

Kleszcz jest tylko nosicielem



Borelioza to zakaźna choroba wywołana przez bakterie, które atakują człowieka po ukłuciu i żerowaniu kleszcza. Kleszcze same w sobie nie są jednak rezerwuarem krętków boreliozy w przyrodzie. Te pajęczaki, aby przejść cały cykl życiowy od larwy przez nimfę po postać dorosłą, która wyda potomstwo potrzebują co najmniej trzech żywicieli, od których pobierają pokarm razem z krwią. Zazwyczaj jaja kleszcze nie są zainfekowane boreliozą. Bakterie trafiają do organizmu pajęczaka zwykle dopiero od pierwszych żywicieli, m.in. małych ssaków (myszy, nornic) i ptaków śpiewających (kosów, drozdów), na których żerują lawy. Te organizmy stanowią rezerwuariusz boreliozy w przyrodzie. Zazwyczaj przechodzą infekcję łagodnie, niemal bezobjawowo, ale krętki skutecznie namnażają się w ich krwi. Zwierzęta parzystonogie, jak sarny i jelenie nie są rezerwuarem boreliozy, ale pełnią funkcję „wzmocniacza” - kleszcze żerują na nich masowo, co sprzyja wzrostowi populacji pasożyta. Co ciekawe kleszcz korzysta na obecności bakterii, której jest nosicielem. Kleszcze pospolite oczekując na ofiary na roślinach są narażone na wysychanie. Zakażone osobniki wykazują jednak większą tolerancję na niską wilgotność, co pozwala im dłużej aktywnie szukać żywiciela. Ponadto zainfekowane kleszcze posiadają większe rezerwy tłuszczowe.

Źródło: www.naukawpolsce.pl

Niezwykła pułapka na mrówki



Australijscy naukowcy odnotowali niezwykle zwyczajne łowieckie nowoodkrytego gatunku nocnych pajaków z rodzaju *Propstira* zamieszkujących lasy deszczowe na północy stanu Queensland. Budują one pułapkę działającą jak balista z czasów rzymskich, której używają do katapultowania złapanych mrówek tkaczek (*Oecophylla smaragdina*) w sieć zawieszoną 30 centymetrów wyżej. Pajaki przędą pod liściem rośliny od 15 do 60 ciasno splecionych linek napinających tworzących stożkowaty kształt o dużej sprężystości a następnie pozostawiają lepka substancję przyciągającą mrówki. Zwabiony owad wgrzyza się w sieć uruchamiając pułapkę, która wyrzuca ją do góry z przyspieszeniem 167 m/s^2 , czyli 130 razy większym od przyspieszenia ziemskiego. Ofiara trafia do zawieszanej wyżej sieci głównej, dzięki czemu znika z uczęszczanej przez mrówki trasy. Chroni to pajaka przed kontratakami kolonii jej towarzyszek.

Źródło: www.naukawpolsce.pl

FOTO: Adobe Stock.

Popielniczka w gnieździe



Badania przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego potwierdziły, że sikory modre zbierają niedopałki papierosów i wykładają nimi swoje gniazda, by chronić pisklęta przed pasożytami i zwiększać ich szanse na przeżycie. Punktem wyjścia do obserwacji takich zachowań, była wiedza o zjawisku wkładania przez te ptaki do gniazd aromatycznych roślin jak mięta czy lawend, które mogą działać jako naturalne odstraszacze pasożytów. W ramach badań obserwowano trzy typy gniazd sikory modrej: w pełni naturalne, naturalne z niedopałkami papierosów oraz sterylne. Okazało się, że najzdrowsze rozwijały się ptaki z gniazd sterylnych, natomiast pisklęta wychowywane w gniazdach z niedopałkami były zdrowsze – miały wyższy poziom hemoglobiny i wyższy hematokryt – niż te z gniazd bez niedopałków. Choć resztki papierosów nie eliminowały całkowicie pasożytów, zawarte w nich związki chemiczne ograniczały ich liczebność, zwiększając szansę młodych ptaków na przeżycie. Nie są znane jednak długofalowe skutki takich zachowań. Papierosowe odpadki zawierają bowiem ponad 4 tysiące związków chemicznych, w tym arsen, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne i metale ciężkie, które mają udowodnione działanie genotoksyczne.

Źródło: www.naukawpolsce.pl

Polski rekord ciepła



Minione lato przyniosło nowy rekord najwyższej temperatury powietrza odnotowanej na terenie Polski. Według danych operacyjnych i telemetrycznych IMGW-PIB na stacji synoptycznej w Słubicach odnotowano 28 czerwca 2026 r. odczyt o wartości $40,5^{\circ}\text{C}$. Oznacza to pobicie dotychczasowego oficjalnego rekordu $39,5^{\circ}\text{C}$, również ze Słubic (30 lipca 1994 r.), oraz przekroczenie historycznego wyniku $40,2^{\circ}\text{C}$ z Prószkowa z 29 lipca 1921 r.

Źródło: www.x.com/IMGWmeteo

WYWIAD

Dziękuję się swoim światem

O zauroczeniu muzyką, jej odkrywaniu i nieoczywistych inspiracjach naturą rozmawiamy z **Bartłomiejem Wąsikiem**, pianistą, kompozytorem i aranżerem.

ADAM PRZYSTUPA

Skąd w Panu takie zauroczenie muzyką? Czy zakiełkowało ono w rodzinnym domu, czy może w przedszkolu, gdzie jak słyszałem siadał Pan zasłuchany pod pianinem?

Tak rzeczywiście było. Pamiętam, że muzyka wykonywana na żywo, na instrumentach, szczególnie na pianinie, robiła na mnie bardzo duże wrażenie. Umówmy się, to nie był jakiś wielki repertuar, po prostu zajęcia z rytmiki. Niemniej myślę, że to wspólne śpiewanie przedszkolu i obcowanie z muzyką na pewno pociągnęło niejednego przedszkolaka do tego, by potem wpaść w jej objęcia i podążyć za tą fascynacją, która właśnie wtedy się we mnie narodziła. W moim przypadku muzykalność przejawiała się tym, że bardzo lubiłem śpiewać, zwykle na rodzinnych wydarzeniach. Moją ulubioną i popisową piosenką były „Dmuchawce, latawce, wiatr” z repertuaru Urszuli. To niesamowite, jak życie potrafi zaskakiwać. Dosyć niedawno miałem przyjemność brać udział w takim wydarzeniu organizowanym przez Program I Polskiego Radia, podczas którego miałem za zadanie przygotować swoje wersje fortepianowe piosenek śpiewanych przez Urszulę, Reni Jusis, Natalię Kukulską i Kasię Stankiewicz. Poznałem wtedy osobiście Urszulę i powiedziałem jej, jak bardzo ta piosenka, jej duch harmoniczny wryły się we mnie. Powiem szczerze, że nawet już jako dorosły muzyk i przede wszystkim człowiek zajmujący się aranżowaniem utworów zupełnie podświadomie wykorzystuję pewne obecne w niej schematy, rodzaj myślenia, sposób łączenia harmonii. Ta piosenka powtarzana przeze mnie wielokrotnie i słuchana wielokrotnie zostawiła właśnie we mnie taki ślad. To samo było zresztą z piosenkami innego lubelskiego zespołu, czyli Bajmu. Zresztą w moim domu słuchało się bardzo dużo

muzyki. Rodzice często organizowali imprezy, na których namiętnie słuchano Deep Purple, Pink Floyd, Led Zeppelin, Queen czy Maanam. To było tak intensywne doświadczenia, że będąc dzieckiem byłem przekonany, że na okładce wydanej przez zespół Maanam płyty O! sfotografowano stojącą tyłem moją mamę. Oczywiście to była Kora Jackowska. Równocześnie w moim domu nikt nie grał na żadnym instrumencie. Tato kiedyś grywał na gitarze, ale kiedy zajął się obowiązkami rodzicielskimi tę grę zarzucił. Zostałem więc wyłowiony w przedszkolu na zajęciach, na które przyszła pani ze szkoły muzycznej. Przeprowadziła swego rodzaju test, po którym powiedziała rodzicom, żebym koniecznie poszedł na egzamin do szkoły muzycznej w Lublinie.

Zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę przy tym pianinie, którego muzyka wręcz fizycznie na Pana oddziaływała...

Dźwięk to realne fale, stąd myślę, że ten rodzaj wibracji w rozedrganym powietrzu bardzo mi odpowiadał. Byłem zaczarowany muzyką. Zastanawiałem się jak to możliwe, że ktoś przykładą dłonie do instrumentu i powstaje linia melodyczna, powstaje harmonia. Było to bardzo ciekawe, fascynujące, choć nie ukrywam, że potem sam etap nauki gry na fortepianie to była bardzo mozolna praca. Do tego przez pierwsze trzy lata nauki w szkole podstawowej nie miałem własnego instrumentu. Jeździliśmy z ojcem po Lublinie po znajomych rodziców, którzy mieli pianino. Proszę sobie wyobrazić, że przyjeżdżaliśmy do mieszkania, gdzie toczyło się normalne życie. Zwykle popołudniami, więc w czasie, gdy wszyscy wracali z pracy, dzieciaki odrabiały lekcje, ja siedziałem przy instrumencie i uczyłem się grać. Pamiętam takie jedno mieszkanie przy ul. 1-Maja, gdzie jedno z pomieszczeń, gdzie ćwiczyłem było



FOTO: Michał Mańka.

odgradzone firanką. Zastanawiałem się po co ona tam wisi, skoro i tak słycać dźwięki instrumentu, ale widać każdy szukał dla siebie swojej intymności. By nie nadużywać uprzejmości znajomych moi rodzice zapisali się w kolejkę na zakup pianina. Kiedy wreszcie zadzwonił telefon mój tato usłyszał pytanie – czy chce pan instrument czarny czy taki sosnowy? Tato wybrał sosnowy, bo bardziej pasował do mebli w naszym mieszkaniu. W ten sposób trafiło do mnie pianino marki Legnica. Mniej więcej w tym samym czasie urodziła się moja siostra, więc grając na pianinie opierałem się plecami o łóżeczko, w którym leżała moja malutka siostrzyczka. Pamiętam, że kiedy w szkole moja nauczycielka pani Maria Zezula pytała mnie jak duża jest moja siostra, nie określałem jej wielkości w centymetrach, ale mówiłem np. że ma mnie więcej dwie oktawy. A to pianino zupełnie niedawno oddałem Meli Koteluk, która troszkę się z nim zżyła, bo nagraliśmy przy jego pomocy piosenki na jej album „Harmonia”.

Wspomniał Pan, że w domu na co dzień obcował z muzyką rockową, popularną. Tymczasem nauka w szkole muzycznej wiąże się z poznawaniem i zgłębianiem muzyki klasycznej. Od razu się Pan z nią zaprzyjaźnił?

Nie, nie od razu, choć nauczyciele na samym początku zauważyli, że mam dobry słuch. Jest w szkole muzycznej taki dosyć trudny przedmiot, który się nazywa kształcenie słuchu. Na tych zajęciach pisze się dyktanda z tego co się słyszy, dokładnie zapisuje się dźwięki, interwały itd. Nigdy nie miałem z tym problemów, zresztą z czasem dowiedziałem się, że mam słuch absolutny. Natomiast miałem w szkole bardzo długi okres takiej zapaści pianistycznej i byłem blisko opuszczenia szkoły. Bardzo wkręciłem się w biologię, chemię i chciałem być lekarzem. Interesowała mnie też astronomia, interesowało wszystko, co powodowało, że nie musiałem ćwiczyć na fortepianie. Bardzo tego nie lubiłem. Pamiętam, że mój tata stawiał mi zegarek na pianinie i błagał, bym poćwiczył chociaż 10 minut dziennie, a ja po prostu robiłem wszystko, żeby tego uniknąć. I nagle w przedostatniej klasie liceum, po jednym z egzaminów, do którego podeszedłem nieprzygotowany, gdzie ledwo, ledwo udało mi się zdać do następnej klasy, moja nauczycielka, która uczyła mnie od małego postanowiła, że odda mnie pod skrzydła pani Małgosi Krzemińskiej. Pomyślałem,

że to chyba jakiś żart. Ja, który myślałem, że jakoś prześlizgnę się do klasy maturalnej a potem wybiorę studia medyczne mam trafić do nauczycielki, która wydawała się najbardziej wymagająca i której wszyscy się bali. Proszę sobie wyobrazić, że spotkanie z tą nauczycielką spowodowało, że dosłownie parę miesięcy później nie byłem w stanie oderwać się od fortepianu. W każdej wolnej chwili przechodziłem do szkoły muzycznej, wypożyczałem salę, gdzie był instrument i godzinami doskonaliłem swoją grę. Zobaczyłem, jak sam proces ćwiczenia na instrumencie może być fascynujący. Często mówi się o tym, jak ważne jest osiągnięcie jakiegoś celu, ale też bardzo często trzeba mieć na uwadze to, że sama droga do tego celu już jest niesamowitą przygodą i tak naprawdę człowiek podczas tej drogi uczy się najwięcej. Ja, w ciągu tego ostatniego półtora rok w szkole muzycznej zrobiłem ogromny postęp. Grałem rzeczy tak trudne, że gdyby mi to ktoś kiedyś powiedział, bym go wyśmiał. Grałem utwory Fryderyka Chopina, Johannes Brahmsa, Ludwiga van Beethovena, muzykę XX wieku. Zacząłem chodzić do lubelskiej filharmonii. Chłonałem muzykę całym sobą i sprawił to pedagog. Znam jednak wiele osób, którzy mówiły mi, że skończyły swoją przygodę z muzyką przez nauczycieli w szkole muzycznej. Niestety trafili na sfrustrowanych ludzi, którzy na przykład sami nie zostali takimi muzykami jakimi chcieli i swoją frustrację przerzucali na uczniów. Mierzyli ich jedną miarą, a szkoła muzyczna to jednak coś trochę innego niż zwykła szkoła. Nauczyciele powinni mieć tego świadomość i starać się podchodzić do każdego indywidualnie, by odkrywać i pielęgnować ich talenty. W przeciwnym wypadku kończy się to właśnie w taki sposób, że dziecko przestaje kochać muzykę, czuje się słabe, zakompleksione, niegodne uwagi. Mnie trafiło się coś zupełnie odwrotnego. Poznałem nauczycielkę, która uwierzyła we mnie, mimo że nie miała ku temu powodów. Widocznie podpowiedziała jej to intuicja a ja dzięki temu zakochałem się w graniu. Nigdy jej tego nie zapomnę, bo gdyby nie ona moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Po liceum przyszedł czas na egzaminy na wyższą uczelnię...

Wtedy była to jeszcze Akademia Muzyczna im. Fryderyka Chopina, dzisiaj to Uniwersytet Muzyczny. Kiedy dowiedziałem się, że mam



FOTO: Michał Mańka.



FOTO: Michał Mańka.

zdawać egzaminy w Warszawie, byłem w dużym szoku, bo przecież tak naprawdę dopiero niedawno zacząłem na poważnie grać na instrumencie. Jednocześnie moja nauczycielka naciskała, bym zupełnie się tym nie przejmował. W domu było oczywiście duże poruszenie. Pojechałem na egzaminy i stało się coś, w co nie mogłem uwierzyć. Dostałem się na studia z trzecią lokatą spośród wszystkich zdających. Pamiętam jakie to wtedy zrobiło na mnie wrażenia. Odczułem na własnej skórze, to jak można sobie samemu podziękować za własną pracę i poświęcenie się czemuś. Taki rodzaj wdzięczności odczuwałem potem jeszcze kilkakrotnie, kiedy byłem już dojrzałym muzykiem. To ważne, bo bardzo często można w zawodzie artystycznym cały czas biec za czymś i się frustrować. Ta droga rozwoju jest oczywiście bardzo ważna, ale też trzeba znaleźć moment na zamknięcie pewnego etapu, podziękowanie sobie i wzmocnienie, by móc pójść dalej. A potem znowu zaczyna się kolejne podejście pod kolejną górę i pojawiają się oczywiście różne wątpliwości i słabości, ale przynajmniej u mnie zaczyna się to od nowego punktu zero. Myślę sobie dzisiaj, że w przypadku muzyków bardzo brakuje tej pomocy psychologicznej, nauki auto wzmocniania, którą coraz częściej posiłkują się sportowcy. Skalę ekstremalnych emocji, które

potrafią towarzyszyć muzykom świetnie oddał film dokumentalny o konkursie chopinowskim „Pianoforte”. Przygotowanie do tej rywalizacji to 4-5 lat niewyobrażalnej pracy a potem przychodzi stres bycia na scenie i przechodzenia z etapu na etap, walka z własnymi emocjami i fizycznością. Pamiętam, jak sam bardzo stresowałem się stając przed publicznością. Potem zrozumiałem, że wyjście na scenę, to moment dzielenie się prawdą o sobie, dzielenie się własną wrażliwością. Jak już mówiłem, był czas, kiedy myślałem o studiowaniu medycyny, dziś okazuje się, że często przychodzi mi leczyć ze sceny. Jestem szczęśliwy, kiedy na moich koncertach ludzie płaczą, bo to oznacza, że coś się w nich odetkało, że znaleźli jakiś kontakt ze sobą, ze swoimi emocjami. Ten płacz przynosi pewien rodzaj ulgi. Obecność na scenie jest więc dziś dla mnie takim czasem, kiedy rzeczywiście mogę podzielić się swoim wnętrzem, dziwnym światem, który w sobie noszę. Wiec dziś już nie stresuję się, kiedy stoję na scenie, ale przed wyjściem na nią. Bardzo nie lubię czekać na koncert. Najchętniej ubierałbym się w koncertowy strój w domu i przyjeżdżał prosto na scenę. To oczywiście się zmienia. Kiedyś w garderobie siedziałem cały czas w nutach skupiając się na tym, co się za chwilę wydarzy. Dziś, bardzo często włączam sobie muzykę.

Nie tylko klasyczną, ale też pop, muzykę alternatywną, do której nawet często tańczę, bo to wybija z wylbrzymiania strachu, który jest mi zupełnie niepotrzebny. Na scenę powinienem wyjść zrelaksowany. Stąd obecnie moja garderoba przed koncertem brzmi zupełnie inaczej.

Zasiadając za klawiaturą potrafi się Pan zatracić?

Grając muzykę człowiek rzeczywiście wprowadza się w stan, którego nawet nie nazwałbym transem, bo cały czas mam świadomość tego co się dzieje. Natomiast nie wiem, jak mija czas, bo ten odmierzany jest wtedy przez dźwięki a nie sekundy czy minuty. Muszę coś zagrać i mój świat opiera się wtedy na osi czasu, która jest wyznaczana przez wykonywaną kompozycję. Do tego oczywiście dodaję różnego rodzaju emocje. Niemniej, zawsze pamiętam, że artysta, który wykonuje coś na scenie (nie tylko muzyk, ale też aktor) nie może dać się temu co robi pochłonać. To ja swoją grą powinienem sprawić, by tak poczuł się słuchacz, ale też nie na siłę. Ważniejszy jest pewnie rodzaj szczerości. Ten czas na scenie to odsłonięcie miękkiej tkanki, które dużo nas kosztuje. Nie mówię, że jest to nieprzyjemne, bo my artyści potrzebujemy publiczności do tego, by istnieć, ale bardzo, bardzo specyficzne. Odsłaniając się, nawiązując tę intymną relację z odbiorcą nigdy nie rachuję kto przyszedł na koncert. Zawsze staram się być sobą, bo wiem, że w takiej prawdzie jest największa siła.

Wróćmy do czasu nauki w Akademii Muzycznej. W tym okresie tworzy Pan duet z Emilią Sitarz.

Stworzyliśmy duet fortepianowy, czyli dwoje pianistów grających na dwóch fortepianach albo grających na cztery ręce. Spodobała mi się ta forma. Co więcej, zrozumiałem, że niekoniecznie chcę być pianistą solistą, ale wolę uprawiać muzykę kameralną. Bycie z drugą osobą na scenie to niezwykle uczucie. Po pierwsze jest rażniej, po drugie myśmy się z Emilią tak po prostu bardzo polubili. Za patrona naszego duetu wzięliśmy Witolda Lutosławskiego, bo jego wariacje na temat Paganiniego były pierwszym utworem, który wspólnie zagraliśmy – stąd nazwa Lutosławski Piano Duo. Zaczęliśmy mieć styczność z wybitnymi pedagogami, jeździliśmy po Europie na kursy mistrzowskie, konkursy. Pojawiały się różnego rodzaju nagrody, więc zaczęliśmy być dostrzegani, czego wyrazem były zaproszenia na koncerty,

ale też zainteresowanie nami współczesnych kompozytorów. Mogliśmy wykonywać nie tylko muzykę pisaną przed laty przez wielkich mistrzów, ale też muzykę współczesną. Często były to prawykonania. Zresztą muzyka XX i XXI wieku jest mi bardzo bliska i bardzo lubię ją wykonywać. Z czasem zacząłem zauważać potrzebę aranżowania i tworzenia muzyki. Nawiązaliśmy z Emilią kontakt z duetem perkusyjnym (Magdalena Kordylasińska i Miłozem Pękała) i w ten sposób powstał zespół Kwadrofonik, który tak naprawdę zaistniał na Festiwalu „Nowa Tradycja”. To wspaniały festiwal organizowany przez Polskie Radio, gdzie na nowo interpretowana jest muzyka tradycyjna. Pojawiając się na scenie z dwoma fortepianami, wibrafonem, marimbą i masą różnych instrumentów perkusyjnych wywołaliśmy niemałe poruszenie. Mnogość przeróżnych barw sprawiła, że jeśli chodzi o brzmienie weszliśmy o pułap wyżej. Wtedy zaczęły się pierwsze kontakty z muzykami spoza nurtu muzyki klasycznej. Z Adamem Strugiem, który wykonuje muzykę tradycyjną stworzyliśmy „Requiem ludowe”, z Dorotą Miśkiewicz nagraliśmy piosenki Witolda Lutosławskiego do słów Juliana Tuwima. Na mojej drodze pojawili się Stanisława Celińska i Royal String Quartet, z którymi nagrałem płytę „Nowa Warszawa” zawierającą piosenki o Warszawie w przygotowanych przeze mnie nowych aranżacjach. Ten projekt wywołał niemałe poruszenie. Byliśmy za niego nagradzani a ja dzięki niemu zacząłem być zauważany w świecie muzyki innej niż klasyczna. Odkryłem, że w aranżowaniu muzyki jest bardzo duża przestrzeń na pokazanie siebie, mimo tego, że aranżuje się czyjeś dzieło. Pozwoliło mi to stać się potem kompozytorem i podać sobie rękę z artystami spod znaku muzyki popularnej. Część z nich jest dzisiaj moimi przyjaciółmi i od nich się też bardzo dużo się uczę.

Domyślam się, że by aranżować na nowo czyjeś kompozycje trzeba mieć w sobie obok talentu i umiejętność dużo odwagi?

Oj tak, trzeba mieć odwagę i wyobraźnię. Kiedy pracowałem nad płytą „Nowa Warszawa”, wśród aranżowanych piosenek były takie szlagiery jak „Sen o Warszawie” Czesława Niemena, „Taka Warszawa” Bajmu czy „Warszawa” Davida Bowie. To było duże wyzwanie, ale ja bardzo lubię wyzwania. One powodują, że nie spoczywamy na laurach. Przygotowując aranżację musimy



całym sobą okazać, czy rzeczywiście dana kompozycja w nas wibruje, jak ją odczuwamy, jak interpretujemy. Dziesięć lat później odważyłem się przygotować płytę, która spowodowała, że wróciłem do solowych występów na scenie. Dałem jej tytuł „Daydreamer”, czyli osoba, która śni, marzy w ciągu dnia, pozostaje w pewnym zawieszeniu, które pozwala dostrzegać rzeczy na pierwszy rzut oka niewidoczne. Ten pomysł skłonił mnie, by wziąć na warsztat piosenki zespołu Radiohead. To wspaniałe kompozycje. Zresztą muzycy zespołu bardzo często powtarzają, że głównym źródłem ich inspiracji jest muzyka klasyczna. Zaaranżowałem je zupełnie po swojemu, filtrując przez swoją wrażliwość, dodając im swojego ducha. Ta płyta była takim podsumowaniem mojej pracy aranżera. W międzyczasie zacząłem tworzyć własne kompozycje na kolejny album, który miał już mieć charakter autorski. Do jego powstania zainspirowała mnie natura. Wszystko zaczęło się od przypadkowego zasłuchania w dialog żurawi na bagnach Kampinoskiego Parku Narodowego. Całe szczęście miałem ze sobą dyktafon, na którym zwykle robię notatki dźwiękowe. Nagrałem głosy żurawi i już tam na bagnach wiedziałem, że dzieje się coś niezwykłego, bo nie mogłem doczekać się powrotu do domu, by zagrać akordy, które właśnie ułożyły mi się w głowie. Te cztery akordy stały się inspiracją i taką pierwszą komórką, która następnie zaczęła się potem dzielić dając zaczyn albumowi „Pianorizon”.

Natura była Panu bliska niemal od zawsze.

Pamiętam, że zdarzało mi się wagarować, ale moje wagarowanie nie polegało na tym, że uciekałem z lekcji i siedziałem gdzieś w mieście, tylko szedłem na dworzec PKS i wsiadałem w autobus, który jechał w okolice Kazimierza, albo na jeziorze łącznińsko-włodawskie. Tam wysiadałem i cały dzień zwiedzałem miejsca, o których wcześniej czytałem sobie w książkach i przewodnikach. Zwykle były to miejsca związane z przyrodą. Tej wrażliwości na naturę uczył mnie m.in. mój dziadek, który był takim trochę Doktorem Dolittle. Bardzo często w jego domu można było spotkać ranne zwierzątka, które leczył, pisklaki, psy czy koty, które zjawiały się by je nakarmić. Robiło to na mnie niezwykle wrażenie. Pod koniec liceum zrobiłem kurs na strażnika ochrony przyrody oraz przewodnika górskiego po Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Tak więc, zawsze ciągnęło mnie do natury, w której odnajduję jakiś balans, w której otoczeniu mam wrażenie jestem trochę lepszym, prawdziwszym człowiekiem. Różnego rodzaju sprawy, które w mieście często urastają do nie wiadomo jakich rozmiarów problemów, wśród przyrody potrafię sobie w głowie właściwie poukładać, przemyśleć, zrozumieć. Natura jest więc dla mnie takim opatrunkiem, który przynosi ulgę. To bardzo dla mnie ważne.

Na płycie „Pianorizon” przedstawia się nam Pan nie tylko jako pianista...

Kiedy pracowałem nad tym albumem, wiedziałem, że chcę na sam koniec zawrzeć słowa, które są dla mnie ważne. Wiedziałem, że chcę sprawić podobne wrażenie, do tego, gdy oglądając film w kinie na napisach końcowych pojawia się piosenka, która podsumowuje to, co przed chwilą zobaczyliśmy. Stąd na mój albumie zamyka piosenka. Wiedziałem też, że pomimo tego, że nie jestem wokalistą, to sam muszę ją zaśpiewać. Zlecenie tego komuś innemu byłoby trochę nieprawdziwe. Trochę nie mam wyjścia, bo by cała płyta miała taki osobisty i intymny wymiar musiała być zagrana i zgrywana przez mnie stu procentach. Oczywiście to się wiązało z dużym stresem, ale jak już powiedziałem lubię wyzwania. Nie wiem, czy na kolejnych albumach będę jeszcze używał głosu, ale w tym projekcie akurat musiałem to zrobić. Nie umiem znaleźć innego wytłumaczenia.

Skoro jesteśmy przy słowach – odnaj-

duję w Pana aranżacjach dużą wrażliwość na ich melodykę. One zdają się płynąć wraz z melodią.

Dziękuję, że pan to mówi, to bardzo miłe. Miałem przyjemność poznać i współpracować z Melą Koteluk, Ralphem Kamińskim czy Natalią Przybysz, których łączy to, że pięknie posługują się językiem polskim. Nie wiem, jak to określić inaczej, ale mam takie wrażenia, jakbym przez ich piosenki ten język słyszał lepiej, jakbym go ostrzej widział. Nauczyłem się od nich, że słowo ma moc i także ma szansę wybrzmieć jako muzyka. Wydaje mi się, że tworzenie własnych piosenek jest czymś bardzo trudnym, natomiast, kiedy pracowałem razem z Ralphem Kamińskim czy Melą Koteluk nad ich piosenkami, było mi ogromnie miło mogąc zająć się działką muzyczną. To poczucie, kiedy wraz z komponowaną muzyką spisane na papierze słowa dostają kolejnego wymiaru, to naprawdę coś wspaniałego. To niezwykła radość, kiedy nagle czujesz, że słowo rzeczywiście współgra z muzyką. Mógłbym to robić do końca życia.

Nie wiem, czy to właściwe skojarzenie, ale słuchając albumu „Pianorizon” odnalazłem w niej pewien rodzaj nostalgii, który wiąże z muzyką Erika Satie.

To ciekawe, co pan zauważył, bo choć nie inspirowałem się nim bezpośrednio, ale na pewno jest tu trochę z ducha tej nostalgii. Bardzo lubię to słowo. Na albumie pojawiają się głosy żurawi, które jako ptaki migrujące są dla mnie takim symbolem nostalgii. Kiedy widzimy klucze odlotujących ptaków czujemy taki ścisk w sercu. Nie jest on spowodowany bólem. Raczej żalem, tęsknotą, uczuciem pustki i przemijania. Oto znów stało się, minął kolejny rok, kończą się wakacje, jakiś rodzaj sielanki. Ale przecież te same ptaki za pół roku wrócą i znów w sercu poczujemy znajomy ucisk. Tylko, że wtedy to jest inny rodzaj wzruszenia. W moim odczuciu jesienią nie jest to smutek, tak samo jak wczesną wiosną nie jest to radość. To właśnie jakiś rodzaj nostalgii. Ptaki wracają, by dać szansę wiosnie. Tego możemy się od nich uczyć. Dawać szansę temu, co kiedyś uleciało, wrócić do tego i spojrzeć na to na nowo, spróbować zrozumieć a wtedy być może zostanie to z nami na dłużej. To jest właśnie to coś, co chciałem zawrzeć na moim albumie „Pianorizon”. Pewien rodzaj migracji uczuć, której symbolem jest klangor żurawi.

Lubi Pan komponować?

To piękny, ale mozolny proces. Lubię tworzyć i trochę żałuję, że tak późno uwierzyłem, że mogę to robić. Choć pierwsze utwory komponowałem jeszcze w szkole za namową tej nauczycielki, dzięki której tak pokochałem muzykę. Prosiła, bym przynosił je na lekcje, chwalił się nimi, grał je dla niej. Nie mogę jednak narzekać, bo w moim artystycznym życiu wydarzyło się tyle wspaniałych rzeczy, nawiązałem tak wiele ciekawych relacji zarówno z artystami jak i publicznością. To wszystko powoduje, że wiatr cały czas dmie w moje żagle i płynę do przodu.

Na zakończenie rozmowy życzę więc, by ów wiatr nigdy dać nie przestawał.

Dziękuję za zainteresowanie moją osobą i cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.



Bartłomiej Wąsik

Ur. 29 października 1978 w Lublinie – polski pianista, kompozytor i aranżer, absolwent Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie (2002) i Hochschule für Musik und Theater w Rostocku. Współtwórca duetu Lutosławski Piano Duo (1999) i kwartetu Kwadrofonik (2005). Występował m.in. w Carnegie Hall w Nowym Jorku, Chicago Symphony Hall, Kennedy Center w Waszyngtonie, Philharmonie Berlin i Izumi Hall w Osace. Wydał dwie autorskie płyty: Daydreamer – Bartek Wąsik plays Radiohead (2022), Pianorizon (2025). Współpracował m.in. z Stanisławą Celińską, Ralphem Kaminskim, Dorotą Miśkiewicz, Melą Koteluk i Adamem Strugiem. Laureat licznych nagród m.in. Fryderyków, Folkowego Fonogramu Roku. Poza działalnością koncertową współtworzył i artystycznie współprowadził Festiwal Kwadrofonik. W 2020 zainicjował w warszawskiej Królikarni cykl autorskich recitali „Pianokrąg”.



SPACER Z ARCHEOLOGIEM

ADAM PRYZSTUPA

POD ARKADAMI

Zapraszamy na kolejny archeologiczny spacer po Lublinie.
Tym razem odwiedzamy **dr Rafała Niedźwiadka**
na terenie stanowisk archeologicznych przy ul. Świętoduskiej.

W latach 1976-2004 mieściła się tu popularna wśród lublinian kawiarnia „Pod Arkadami”. Wcześniej od XIX wieku do czasu likwidacji przez Niemców lubelskiego getta funkcjonował tu plac targowy. Dziś planowana jest tu nowa inwestycja, co dla archeologów stwarza niepowtarzalną okazję do odkrywania historii dawnego Lublina.

Cisnie mi się na język tytuł jednego z referatów z XLI Lubelskiej Konferencji Archeologicznej „Gdy nic miało nie być”. Tak naprawdę o przeszłości tego miejsca do niedawna widzieliśmy tylko to, co mówiły nam fotografie Edwarda Hartwiga dokumentujące XX-wieczne urządzenie Arkad, czy też kilka XIX-wiecznych sztychów ukazujących targowisko. Drugim narzucającym się skojarzeniem były ogrody klasztorne Karmelitów. Natomiast wszystko co działo się na tym obszarze wcześniej, a co właśnie odkrywamy, jest dla nas zaskoczeniem. Zapewne dla historyków również, choć przygotowując się naszych prac szukaliśmy informacji źródłowych i znaleźliśmy takie u o. dr Arkadiusza Smagacza opisującego historię lubelskiej wspólnoty Karmelitów Bosych. Dzięki temu wiemy, że Karmelici przybyli do nas w 1610 r., znaleźli dla siebie dogodnie miejsce przy pochodzącym z początków XV w. kościele pw. Św. Ducha w sąsiedztwie zlokalizowanych tu ówczesznie zborów innowierczych. Według zapisów w dokumentach klasztornych wykupywali stojące tu kamienice i je rozbierali, by przygotować teren pod ogród pełniący funkcje kontemplacyjne i użytkowe. Podczas naszych prac odkryliśmy pozostałości tych renesansowych kamienic, które musiały zostać rozebrane, nim postawiono otaczający uprzątnięty teren mur klauzurowy, znany nam z obrazu „Pożar miasta Lublina” z kościoła Dominikanów. Potwierdzeniem tego datowania byłaby moneta odkryta we wkopie fundamentowym pod ów mur wybijana od 1550,

w obiegu do początku wieku XVII.

Czy znaleźliście jakieś artefakty związane z ogrodami klasztornymi?

Jest tego całkiem sporo. Okazuje się, że nie było to tylko, jak przedstawia to wspomniany obraz, wyłącznie barokowe założenie ogrodowe. Podczas prac archeologicznych prowadzonych w 2017 r. odkryliśmy budynki w formie piwnic murowanych, które mogły służyć za składy handlowe, ponieważ w ich kontekście było dużo plomb tekstylnych potwierdzających oryginalność towarów, przeważnie tkanin sprowadzanych z zachodu. Część z tych plomb udało się rozszyfrować, stąd wiemy, że sukno, którym handlowano na lubelskich jarmarkach pochodziło z Leszna, Wschowy, Prerowa w dzisiejszych Czechach, a nawet Londynu.

Wróćmy do odkrytych renesansowych kamienic. Czy wiemy do kogo należały zanim odkupili je zakonnicy?

W kronikach zakonu wymieniane są poszczególne nazwiska, nawet specjalności zawodowe, ale nie jesteśmy w stanie przyporządkować konkretnych budynków do konkretnych nazwisk. Gdybyśmy w ich wnętrzach natrafili na artefakty pozwalające określić rzemiosło, którym parali się ich mieszkańcy, być może udałooby się ich

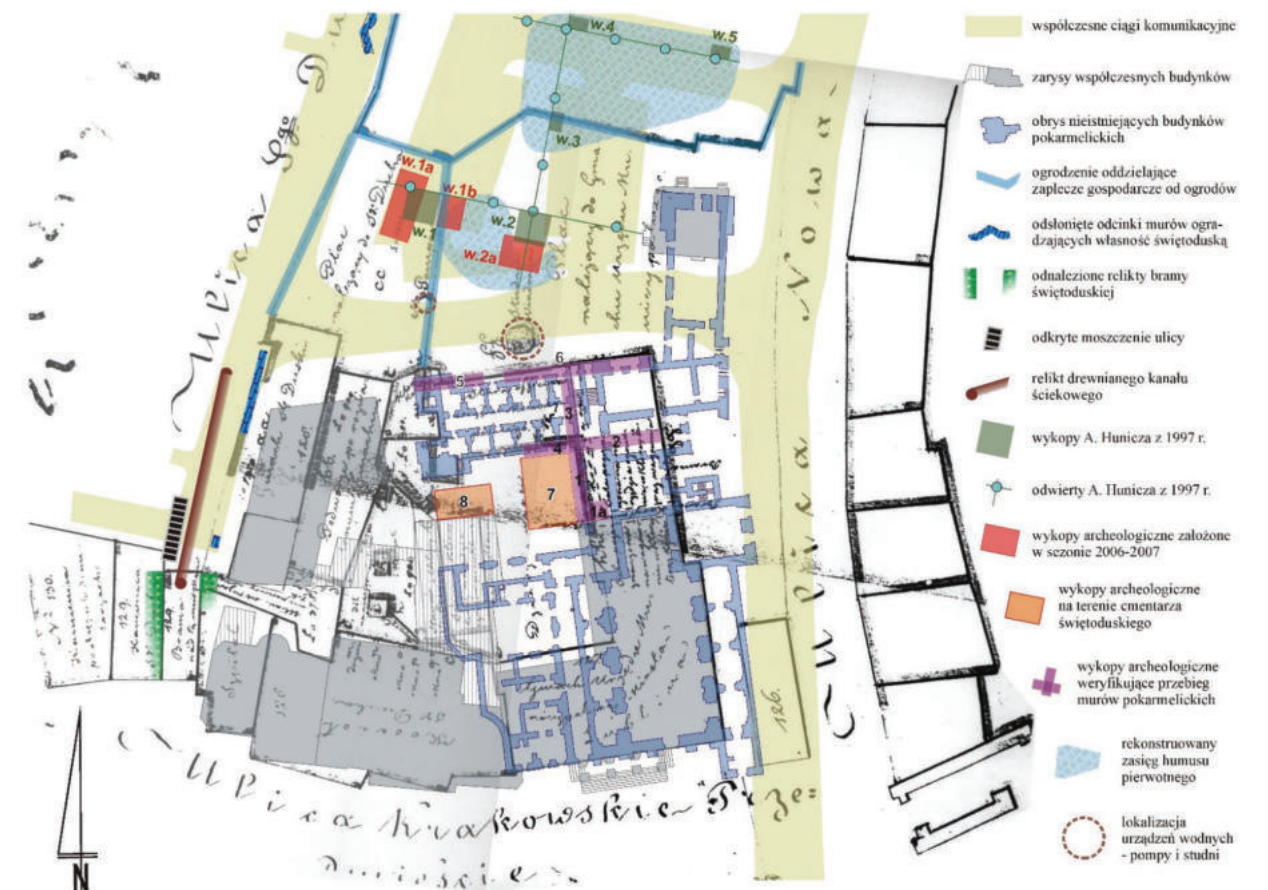


Odkryty denar - w obiegu do pocz. XVII w.
(fot. M. Grabowski)

FOTO: Z archiwum Archee.



„Pożar Lublina w 1719 roku” - zaznaczone jest przedstawienie ogrodu Karmelitów.
U dołu: teren poszukiwań archeologicznych.



zidentyfikować. Na razie takich znalezisk nie mamy, ale jesteśmy w przededniu zejścia do wnętrza piwnic. To co widzimy, to odkryte fragmenty murów dwóch pomieszczeń należących albo do jednej, albo do dwóch kamienic. Około 20 m na południe od tego miejsca odkryliśmy przebiegający równolegle do ul. Świętoduskiej mur, który zamykał tę zabudowę od wschodu. Zatem wkraczała ona w głąb dzisiejszej ul. Świętoduskiej, ta zaś, o czym wiemy z innych danych uzyskanych w tym miejscu, ulegała erozji, wprost się zapadała. Stąd być może część zachodnia odkrytej przez nas zabudowy, która wypadała bliżej ul. Świętoduskiej została rozebrana, a tu przed frontonem Arkad, gdzie grunt jest bardziej stabilny możemy czytać jej wnętrze.

W naszej podróży w głąb ziemi i w głąb czasu cofnijmy się jeszcze dalej...

I tu dochodzimy do najważniejszych, moim zdaniem sensacyjnych, efektów naszej pracy na Arkadach. Pod poziomem renesansowych murów czytamy poziom wczesnośredniowiecznej regularnej zabudowy. Datowanie radiowęglowe wskazuje na wiek X i początek XI wieku, czyli przekładając to na język historyczny, mówimy o czasach Mieszka I i początku panowania Bolesława Chrobrego, jeszcze jako księcia. Oczywiście, w wielu punktach Lublina, czytamy ślady dużo starszego osadnictwa. Niedaleko stąd, w rejonie Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr 1 natrafiono na ziemiankę z VI wieku, na ten sam okres datowano wiele domostw z wzgórza zamkowego, osadę na Czwartku czy odkrycia przy ul. Kochanowskiego. Istną eksplozję osadnictwa przeżył Lublin w VIII stuleciu, stąd najwięcej odkrywanych osad mamy z okresu od VIII do X wieku. Wiele z nich ma już formę zorganizowaną. To jednak, co wyróżnia nasze odkrycie na terenie Arkad, to zachowany układ przestrzenny

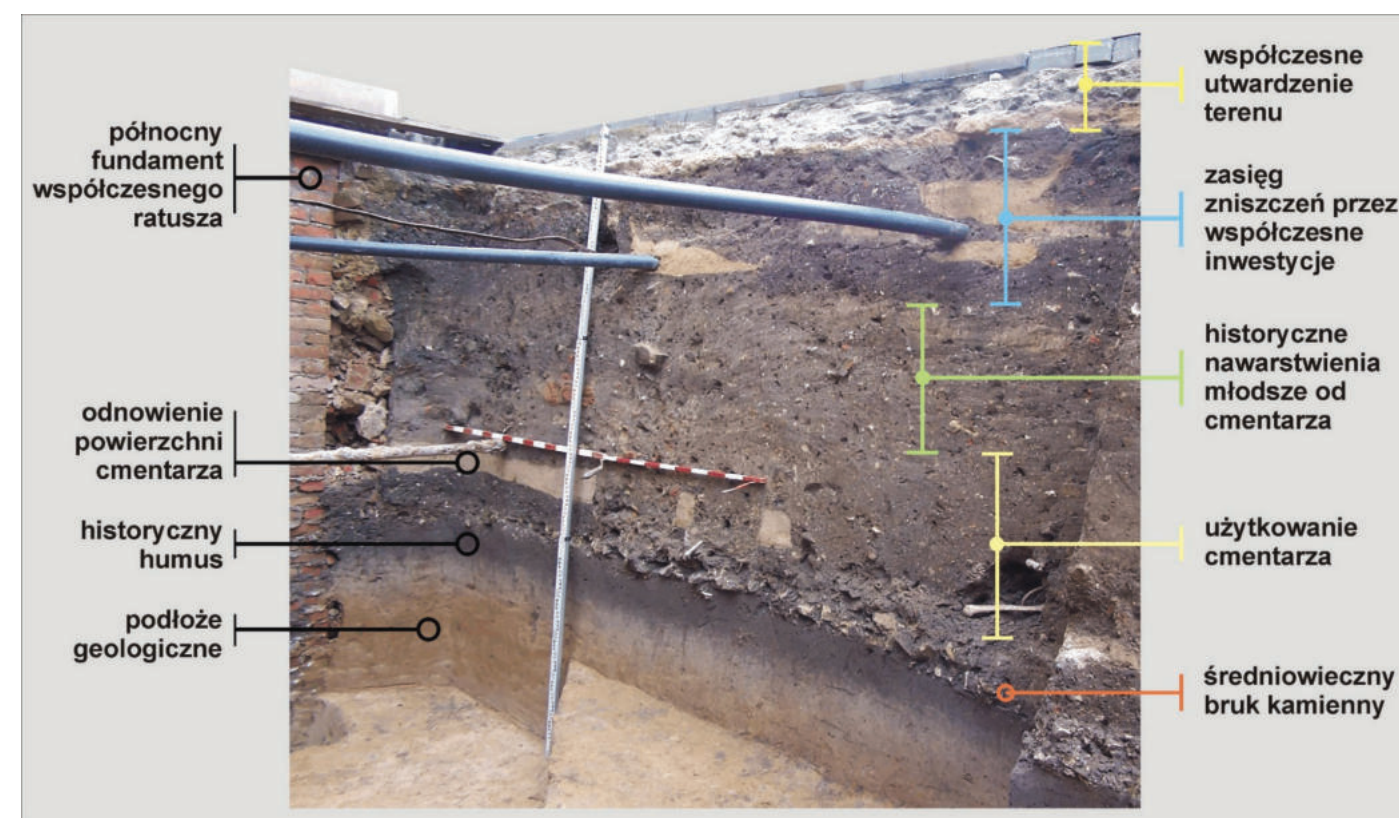
i jednofazowość. Możemy zobaczyć jak ci ludzie podchodzili do organizacji swojej przestrzeni życiowej. Zabudowania zlokalizowane były wokół placu centralnego, ale w części północnej mamy formę zabudowy pierzejowej, gdzie kolejne budynki dostawiano do wytyczonej krawędzi niemal dokładnie co 15 metrów. Musiała przyświecać im jakaś idea, by właśnie taką odległość wybrać między poszczególnymi siedliskami. Co prawda mniej staranności dołożyli w kwestii ich orientacji. Każdy z nich miał nieco inaczej ukierunkowane ściany o czym świadczą zachowane otwory po słupach konstrukcyjnych. Na terenie tych siedlisk odkryliśmy paleniska w części mieszkalnej, ale też trzy piece, w częściach gospodarczych wyprowadzonych na zewnątrz, które mogły mieć przeznaczenia warsztatowo-produkcyjne.

Na czym polega jednofazowość tych znalezisk?

Mamy tu szczególną sytuację, w której badane przez nas stanowisko było użytkowane i przestało funkcjonować w ramach jednego, spójnego i ciągłego okresu historycznego, bez późniejszych przebudów czy ponownego zasiedlenia w innych epokach. Innymi słowy ludzie zamieszkujący tę osadę przez jedno czy dwa pokolenia opuścili to miejsce a ono ulegało naturalnym procesom destrukcji, by po upływie setek lat przerodzić się w zaplecze renesansowych kamienic a w końcu stać się karmelickimi ogrodami. Taka sytuacja ułatwia precyzyjne datowanie materiału bez ryzyka przemieszania artefaktów ze starszych lub młodszych warstw. Cieszymy się tą jednofazowością, bo np. jako archeolodzy mamy zwykle duży kłopot w wyróżnieniu ceramiki pochodzącej z X w. Na Arkadach, gdzie datowanie radiowęglowe pozwoliło zamknąć badany okres między X a początkiem XI w. możemy tę ceramikę datować bardzo dokładnie. Widzimy przy tym, iż wyraźnie



FOTO: Z archiwum Archee.



FELIETON ADAMA PRZYSTUPY Opowieść siedemdziesiąta trzecia

O mieście co węglem stało



Kiedy usłyszałem historię miasteczka Centralia pomyślałem o Telegraph Road, autostradzie przecinającej z północy na południe amerykański stan Michigan. Skojarzenie nieoczywiste biorąc pod uwagę, iż ptasim lotem dzieli te miejsca odległość blisko 700 km. Niemniej, gdzieś z tyłu głowy wyobrażnia krzesze obraz pasażera autobusu przemierzającego tę drogę znaczoną na mapach symbolem US Route 24, pasażera zanurzonego w lekturze „Błogosławieństwa ziemi” Knuta Hamsuna. Znać? „Przez trzęsawisko wiedzie do boru ścieżka długa, niezmierna. Kto ją wydeptał? — Człowiek, pierwszy, który się tu pojawił. Przed jego przybyciem nie było jej jeszcze. Później wątlm jego śladem podążyło poprzez bagna i trzęsawice zwierzę jedno i drugie, a jeszcze później ścieżynkę zwęszył i używał jej stale ten i ów Lapończyk goniący w górach za swoimi reniferami. Tak powstała droga nienależąca do nikogo, wiodąca przez rozległą ziemię bezpańską.”

Pierwszy akapit, pierwsze zdania, które spleta się z tym, co za oknem autobusu. Zdającą się nie mieć końca drogą, którą nazwano zapatrzywszy się w połowie XIX stulecia na stawiane wzdłuż niej telegraficzne słupy. Drogą wytyczoną wedle pieszych indiańskich ścieżek zwanych Szlakiem Saginaw. Te ścieżki też ktoś kiedyś przemierzył raz pierwszy. Ktoś bezimienny, zapomniany. Myśl o tym jest tylko krótką przerwą w lekturze: „Drogą tą kroczy w kierunku północnym człowiek. Dźwiga worek, a w nim zapasy żywności

i trochę narzędzi rzemieślniczych. Chłop to rośli i silnie zbudowany, z rudym zarostem, na twarzy i rękach ma liczne drobne blizny, zdobyte może w pracy, a może i w walce. Spieszy może wprost z więzienia i pragnie się ukryć, a może jest filozofem i szuka spokoju.” Strona za stroną, rozdział za rozdziałem. Snuje się opowieść o ludziach, którzy decydują się osiąść na pustkowiu, zbudować tam dom. A kiedy przemierzający zatłoczoną autostradę autobus zbliża się do przedmieści Detroit w głowie zaczytanego chłopaka z Newcastle układają się słowa piosenki: *Dawno, dawno temu wyruszył w drogę człowiek Wędrował trzydzieści mil ze swym dobytkiem na plecach Zrzucił swój bagaż w miejscu, które wydało mu się odpowiednie I zbudował dom pośród dzicy.*

Tak, ze splotu skojarzeń zrodziła się piosenka „Telegraph Road”. Z rozmachem kreślona opowieść o rozwoju cywilizacji i jej pułapkach: *Teraz mówią nam, że musimy spłacić zaciągnięty dług Musimy wypić naważone przez nas piwo Tylko ptaki siedzące wysoko na telegraficznych drutach Zawsze mogą odlecieć, uciec do deszczu i zimna.*

Skąd moje skojarzenia z Centralią? Po kolei... Jako się rzekło, 700 km na południowy wschód od Detroit rozpościera się Dolina Susquehanny, jednej z najstarszych rzek świata. Pierwsze ścieżki wydeptywali tu zapomniani

łowcy mamutów określani przez archeologów ludźmi kultury Clovis. Kiedy w te rejony dotarli pierwsi Europejczycy napotkali plemię Susquehannocków, czyli „lud błotnistej rzeki”. Lud należący do irokeskiej rodziny językowej, choć nie należący do potężnej wówczas indiańskiej Konfederacji Sześciu Narodów, zwanej potocznie Irokezami. Lud zamieszkujący irokeskim zwyczajem osady otoczone drewnianymi palisadami, za którymi kryły się „długie domy” kryte korą, w których zamieszkiwało kilkadziesiąt osób. Lud uprawiający kukurydzę, fasolę i dynię, budujący imponujące kamienne liazy dla połowu ryb w nurcie Susquehanny, wytwarzający własną ceramikę, polujący i handlujący futrami. Nic dziwnego, że zetknąwszy się z Susquehannockami w 1608 r. John Smith (tak, ten John Smith ledwie rok wcześniej ocalony od śmierci przez Pocahontas, niczym sienkiewiczowski Zbyszko przez Danusię) zwał ich „ludem potężnym”. Ich potęga zgasła jednak w przeciągu kolejnych 70 lat, w równym stopniu przez zawleczoną na kontynent amerykański przez Europejczyków ospę jak i toczony w cieniu kolonialnej rywalizacji francusko-brytyjskiej wojny z Irokezami. Resztki plemienia zostały zasymilowane przez zwycięzców, którzy nie tylko zniszczyli ich tożsamość, ale w sierpniu 1749 r. podpisując w Filadelfii traktat z właścicielami brytyjskiej kolonii zwanej Pensylwanią sprzedali ziemię Susquehannocków za 500 funtów. Ci, którzy wydeptywali pierwsze ścieżki przez Dolinę Susquehanny zostali wymazani z jej pamięci.

Sprzedane przez Irokezów ziemię w widłach rzek Delaware i Susquehanna zmieniały w kolejnych latach swych właścicieli. Znaczącym dla tej historii wydaje się Stephen Girard, bankier, niegdyś kapitan marynarki, ówczesnie najbogatszy człowiek w Stanach Zjednoczonych. W międzyczasie bowiem niegdyś kolonia należąca do rodziny Pennów (Pensylwania, nazwa nadana jej przez angielskiego króla Karola II oznaczała „lasy Penna”), w 1787 r. stała się drugim spośród zjednoczonych stanów, które wybiły się na niepodległość. Był Girard człowiekiem

pełnym sprzeczności, wartym oddzielnej opowieści. Oddany tylko swej pracy samotnik, który dorobił się na przemycie, oszustwach, powolnym spłacaniu wierzycieli i natychmiastowym ponaganiu dłużników, którego – jak pisał jeden z jego biografów – „nie niepokoiły szczegółowe teorie ścisłego przestrzegania prawa”. Oschły i wymagający cynik, który płacił poniżające pensje swoim pracownikom, ale też niewiele wydawał na siebie. Słowem, gdyby Charles Dickens spotkał go osobiście Ebenezer Scrooge z „Opowieści wigilijnej” miałby konkurenta. Jednocześnie ten sam Girard, kiedy na Filadelfię spadła epidemia żółtej febry nie opuścił miasta, lecz osobiście nadzorował organizację szpitala i osobiście opiekował się pacjentami. W 1812 r. udzielona przezeń pożyczka pozwoliła Stanom Zjednoczonym unieść ciężar wojny z Brytyjczykami. Nim odszedł z tego świata, cały swój wielomilionowy majątek przekazał na cele publiczne i charytatywne. Półtora roku wcześniej w Dolinie Susquehanny

nabył duże obszary ziemi spodziewając się znaleźć tam rudy żelaza. Miast nie odnaleziono tam duże złoża węgla antracytowego. Najbardziej kalorycznego ze wszystkich odmian węgla.

Wieści o znalezisku zaczęły przyciągać innych. W sąsiedztwie terenów należących do spadkobierców Girarda węglonośne działki zakupiła m.in. spółka Locust

Mountain Coal and Iron Company. Na rozległej równinie stał wówczas tylko jeden budynek – Tawerna pod Byczym Łbem. Pobudował ją w 1841 r. przy drodze wiodącej do miasteczka Reading niejaki Jonathan Faust. Ze średnio-wiecznym alchemikiem, który wedle legendy zaprzedał duszę diabłu dzielił nazwisko a nawet inicjały. Nie wiemy, czy byli spokrewnieni. Nie wiemy nawet, czy o nim słyshał, choć teoretycznie miał taką szansę, bo pierwsze amerykańskie wydanie poematu Goethego ukazało się (i to w języku niemieckim) w Nowym Jorku w 1837 r. Stawiając swoją tawernę pomysł miał jednak z lekka diaboliczny, bo pobudował ją na nie swojej ziemi z przywłaszczonych przez siebie cudzych materiałów. Na ówczesnym pograniczu widać nie stanowiło to wielkiego problemu, bo



FOTO: Rzeka Susquehanna. Pensylwania. Adobe Stock.

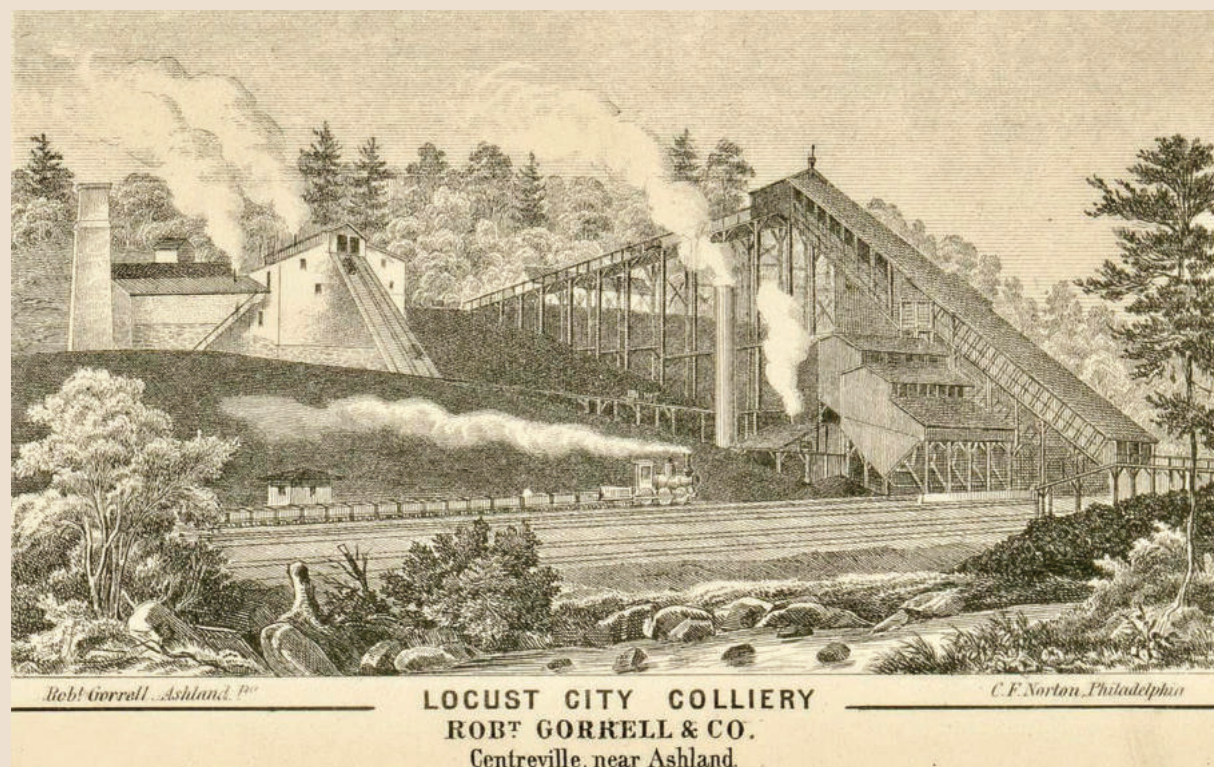


FOTO: Kopalniany krajobraz Centralii ok. 1860 r. Wikipedia.

Tawerna pod Byczym Łbem stała się zaczął górniczego miasteczka. Co więcej, nim na mapach zaistniała nazwa Centralia, tę część Doliny Susquehanny zwano Byczym Łbem.

W 1854 r. zjawił się tam wysłany przez Locust Mountain Coal and Iron Company inżynier Alexander Rea. Nieprzypadkowo, bo właśnie w krajobrazie doliny pojawiły się tory kolejowe, co znacząco urealniało projekt wydobywania węgla. Nie sposób było go dostarczyć konno do czekającej nań miast Wschodniego Wybrzeża przez górskie pasma Appalachów. Rea nadzorował budowę kopalni, ale też zaczął kreślić na planach sieć równoległych i prostokątnych do głównej drogi ulic miasta, które miało być w jego zamyśle centrum wydobywania antracytu. Stąd pomysł na jego nazwę – Centreville. Tawerna pod Byczą Głową nie stała już samotnie na pustkowiu. W siatce ulic zaczęły wyrastać domy, w których mieszkali pracownicy firmy. Dwa lata później ruszyło wydobywanie węgla. W niezwykłym tempie dążono kolejno do kolejnych kopalni. W 1860 r. w osadzie pojawia się pierwszy sklep, jego właściciel dwa lata później zostaje pierwszym poczmistrzem. Kiedy jednak dochodzi o zarejestrowanie urzędu pocztowego władze stanowe zwracają uwagę, iż miasto o tej nazwie już istnieje. Rea nadaje więc osadzie nazwę Centralia. Cztery lata później Centralia zyskuje prawa miejskie. Liczy sobie

wówczas 1300 mieszkańców. Kwitnie. Nowa linia kolejowa i popyt na węgiel sprawiają, że do miasta przybywają kolejni osadnicy. Początkowo pracujący tu górnicy to imigranci z Irlandii, Walii, Szkocji, Anglii i Niemiec. Pod koniec XIX stulecia społeczność miasta zasilają przybysze z Europy Wschodniej, w tym rozgrabionych przez zaborców ziemi I Rzeczypospolitej. Wedle spisów ludności Centralia swój szczyt rozwoju osiąga w 1890 r. Zamieszkuje ją 2761 mieszkańców. Przy jej ulicach stoi się 7 kościołów, 5 hoteli, 27 saloonów, 2 teatry, bank, urząd pocztowy oraz 14 sklepów. Pod ziemią tętni praca w niezliczonych kopalnianych szybach.

Przewracamy kolejne karty historii górniczego miasteczka a w tle zdają się dobiegać kolejne wersy „Telegraph Road”:

Wznosili kościoły, budowali szkoły

Potem zjawili się prawnicy ze swymi paragrafami

Wreszcie pociągi i ciężarówki pełne towarów.

Mniejsza o kolejność zdarzeń, mniejsza o szczegóły...

Alexander Rea nie dożył największego rozkwitu miasta. Zginął 17 października 1868 r. Wracał z sąsiedniego miasteczka Mount Carmel. Była sobota, zwyczajowy dzień wypłaty w kopalniach Centralii. Napastnicy, którzy zastąpili mu drogę liczyli, że Rea pełniący funkcję superintendenta

wiezie ze sobą około 18-19 tys. dolarów. Nie wiedzieli, że tym razem pieniądze dla górników dostarczono dzień wcześniej. Rea miał przy sobie zaledwie kilka dolarów i złoty zegarek. Rozwścieczeni rabusie postanowili go zabić, by pozbyć się świadka nieudanego napadu. Kiedy następnego dnia odnaleziono jego ciało w zaroślach przy drodze, lekarz stwierdził obecność sześciu ran postrzałowych. Dość szybko aresztowano czterech podejrzanych, ale przed sądem nie udało się udowodnić im winy. Przełom w sprawie nastąpił osiem lat później. Do udziału w zbrodni przyznał się odsiadujący wyrok za kradzież Daniel Kelly. Wskazał też trójkę swych irlandzkich pobratymców zyskując, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, status świadka koronnego. Uratował swą głowę, bo jego towarzysze Patrick Hester, Patrick Tully i Peter McHugh zawisli wkrótce na szubienicy. Dlaczego Kelly się przyznał? Prawdopodobnie miał świadomość zaciskającego się wokół niego kręgu poszukiwań. Trzeba nam wiedzieć, iż górnicze obszary Pensylwanii były wówczas teatrem brutalnych zdarzeń związanych z konfliktem właścicieli i zarządców kopalni z górnikami, którzy w walce o poprawę podłych w istocie warunków swej pracy próbowali zrzeszać się w organizacjach takich jak irlandzki Starożytny Zakon Hibernian czy tajnym stowarzyszeniu Molly Maguire. Walka o prawa górników przeplatała się ze zwykłą bandyterką. Ginęli ludzie. Stąd pomysł jednego z właścicieli kopalni, by w sprawę zaangażować Agencję Detektywistyczną Pinkertona. Jej agent James McParland przeniknął w środowisko Irlandczyków doprowadzając do licznych aresztowań. W swym śledztwie dotarł ponoć również do Kelly’ego próbując wyciągnąć od niego informację o śmierci Rea. Kelly widać nie zamierzał czekać, aż zostanie mu to udowodnione. Co ciekawe ślady owych burzliwych czasów w okolicach Centrali i Dolinie Susquehanny odnajdziemy w powieści Artura Conana Doyle’a „Dolina strachu”, gdzie w Dolinie Vermissy detektyw Pinkertona Birdy Edwards jako Jack MacMurdo przenika do tajnej organizacji Scowrsers.

Wróćmy jednak do piosenki Marka Knopflera. Słyszycie, jak śpiewa:

*Pojawiły się kopalnie, sięgano po rudę
A potem przyszły ciężkie czasy
i wybuchła wojna.*

felieton

Wybuch I wojny światowej zmniejszył wydobycie węgla, bo wielu chłopców z Centralii wyruszyło walczyć w Europie. Ci, którzy zdołali wrócić znaleźli pracę, ale kres dobrych czasów przyniósł Wielki Kryzys. Część kopalni została zamknięta. Koszty wydobywania przewyższały zyski ze sprzedaży węgla. Ostatnim haustem powietrza dla górniczej doliny było zapotrzebowanie przemysłu na wydobywany tu węgiel w okresie II wojny światowej. Kres górniczej potęgi Centralii to lata sześćdziesiąte XX w., kiedy zaczęto zamknąć kopalnie. Niczym w kolejnych wersach „Telegraph Road”:

Lubiłem chodzić do pracy, ale mój

zakład zamknięto

Mam prawo do pracy, ale nie sposób jej znaleźć

Teraz mówią nam, że musimy spłacić

zaciągnięty dług

Musimy wypić naważone przez nas piwo.

Myliłby się ten, kto by sądził, że to koniec opowieści o Centralii. Oto 7 maja 1962 r. podczas obrad rady miasta radzono nad przygotowaniami do corocznych obchodów Dnia Pamięci (Memorial Day), święta obchodzonego zawsze w ostatni poniedziałek maja, by upamiętnić wszystkich poległych podczas służby wojskowej. Problem, który należało rozwiązać stanowiło składowisko odpadów opodal cmentarza Odd Fellows. Trudno było nazwać je dzikim wysypiskiem. Raczej tymczasowym miejscem składowania odpadów komunalnych wobec konieczności zamknięcia starego, niespełniającego wymogów technicznych składowiska przy cmentarzu św. Ignacego. Użyto w tym celu powstałego w 1935 r. wyrobiska po odkrywkowej kopalni węgla o wymiarach 91 m na 23 m i głębokości 15 m. Nie wiemy, ile było w nim odpadów. Z dużym prawdopodobieństwem rzecz można, iż nie prowadzono ich ilościowej ewidencji. Było ich jednak tak dużo, iż ze względu na odory i nieporządek należało je uprzątnąć. Zadanie to powierzono strażakom, którzy mieli nadzorować ich spalanie. Nie było to rzecz jasna zgodne z prawem, stąd w protokołach posiedzeń rady miasta próżno szukać zapisów o tej decyzji, ale też nie było to w ówczesnych realiach niczym niezwykłym. Pięciu strażaków z Centralii (James Cleary Jr, Thomas Krupinski, Charles Michael, Donald Leiby i Mike Krolick) wykonało swe zadanie 27 maja 1962 r. Spalone odpady zabezpieczono polewając wodą. Wydawało się, że wszystko poszło zgodnie z planem.

Niespodziewanie dwa dni później w wyrobisku znów pojawił się ogień. Wezwano strażaków, którzy raz jeszcze zalali resztki odpadów wodą. Nie pomogło. Płomienie pojawiły się w wyrobisku ponownie 4 czerwca. Tym razem podczas akcji gaśniczej obok wozów strażackich użyto spychacza. Po rozgarnięciu warstwy odpadów odkryto otwór w ziemi o szerokości przeszło 4 m prowadzący w głąb i łączący się system podziemnych górniczych korytarzy. To nim ogień z wypalanych odpadów dostał się do wnętrza ziemi i wciąż rozniecał zdawało się zagaszony pożar. Najwyraźniej ktoś oszczędzając na wydatkach zlekceważył zalecenie wykonania izolacji niecki położonego w dawnym wyrobisku składowiska. Wkrótce okazało się, że problem jest poważniejszy niż początkowo wszystkim się zdawało. Ogień zaczął rozprzestrzeniać się pod ziemią na sieć splecionych podziemnych wyrobisk i korytarzy. To co się stało nie przypominało pożarów, jaki zdarzają się w kopalniach, obejmujących pojedyncze chodniki, które można izolować, bo ograniczyć dostęp tlenu a następnie wtłaczać azot lub dwutlenek węgla, w ostateczności zalać wodą. Strefa ognia objęła podziemny obszar o powierzchni 15 km² do głębokości 90 m. Podsycający płomienie tlen zapewniają tworzące się wciąż w wyniku pożaru zapadliska i szczeliny w ziemi. W jedną z takich szczelin, która nagle na podwórku otworzyła się pod jego stopami wpadł w 1981 r. dwunastoletni Todd Domboski. Na szczęście chłopiec schwycił się korzenia drzewa nim zniknął w liczącej sobie 46 m głębokości otchłani. Z pomocą czternastoletniego kuzyna wydostał się na zewnątrz. Zapadliska, którymi wydostawał się czad i dwutlenek węgla stanowił też zagrożenie dla zdrowia mieszkańców.

W latach 1962–1978 władze stanowe i federalne wydały około 3,3 mln dolarów na próby opanowania pożaru, które nie przyniosły pozytywnych efektów. Tymczasem ziemia mieszkańcom Centralii wciąż dosłownie paliła się pod stopami. W 1979 r. właściciel stacji benzynowej a jednocześnie burmistrz miasteczka mierząc poziom paliwa w podziemnym zbiorniku zauważył, że jest ono gorące. Postanowił zmierzyć jego temperaturę. Opuszczony na sznurze termometr wskazał 172°F, czyli 77,8°C. Kiedy w 1983 r. władze federalne po przeprowadzeniu szeregu ekspertyz oszacowały koszty ugaszenia pożaru na około 663 mln dolarów zarzucono ów pomysł



na rzecz ewakuacji miasta. Rok później Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył 42 mln dolarów na dobrowolny wykup nieruchomości i przesiedlenie mieszkańców oraz przedsiębiorstw ze względu na zagrożenie toksycznymi gazami i zapadliskami. W latach 1985–1991 wykupiono 545 domów i przedsiębiorstw.

Wkrótce okazało się, że Centralia znaczą nie tylko pęknięcia natury geologicznej. Ciężar niespodziewanych zdarzeń podzielił społeczność miasteczka. Jedni uważali pożar za śmiertelne niebezpieczeństwo, inni sądzili, że władze wyolbrzymiają problem. Jeszcze inni podejrzewali, że przesiedlenie ma związek z wartością złóż węgla znajdujących się pod miastem. Animoszje wzmożyły się po tym jak w 1992 r. gubernator Pensylwanii zdecydował o przymusowym

FOTO: Autostrada Graffiti w Centralii. Po prawej: widoczne skutki pożaru. Wikipedia.



wyłączeniu opornych mieszkańców, uzasadniając to względami bezpieczeństwa. Właściciele 53 posesji próbowali bronić swego prawa własności w sądach. Bez sukcesów. Pozostał im bierny opór, w którym do 2013 r. wytrwało osiem osób. Na mocy zawartego wówczas porozumienia władze pozwoliły im pozostać w swych domach do końca życia. Z ich śmiercią domostwa zostaną przejęte i rozebrane a Centralia stanie się opuszczonym miastem widmem niczym Silent Hill z horroru Christophe'a Gansa.

Ów film nakręcony w 2006 r. przysporzył Centralii popularności, choć gwoździ prawdy nie jest Centralia jedynym miejscem, gdzie pod ziemią płoną pokłady węgla. W Wingen w australijskiej Nowej Południowej Walii do niepamiętnych czasów, niektórzy twierdzą, że już 5500 lat gorącej tereny pod Burning Mountain. Od 1916 r. regularnie wybuchają pożary w węglowym zagłębiu Jharia w Indiach. Co bardziej odważni turyści zdążają jednak do Centralii w Dolinie Susquehanny. Jednym zda się miasteczkiem u bram piekieł z pierwszą karczmą postawioną przez Fausta. Inni zasłyszeli miejscową legendę o księdzu Danielu Ignacjuszu McDermottcie, który napadnięty w 1869 r. przez trzech członków Molly Maguire przeklął miasteczko wieszcząc, iż przyjdzie czas, gdy jedynym budynkiem, które się w nim ostanie będzie kościół. Są też tacy, którzy chcą poczuć pulsujące ciepło ziemi pod stopami, albo obejrzeć spękaną opuszczoną drogę



stanową nr 61 zwaną Autostradą Graffiti. Mnie zda się miastem paradoksów. Miastem, które zabrało życie temu, który wytyczył jego ulice i dał mu nazwę. Miastem, które wyrosło dzięki węglu i które za jego sprawą odchodzi w niebyt.



Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów
Adama Przystupy
można przeczytać
na stronie
www.kom-eko.pl



Kadry pachnące metanolem

O miłości do fotografii, speedway'a i rodzinnego miasta rozmawiamy ze **Stanisławem Szalakiem** jednym z najlepszych polskich fotografów dokumentujących żużel.

ADAM PRZYSTUPA

Co było pierwsze, fotografia czy żużel?

Zdecydowanie żużel. Od urodzenia mieszkam w Lublinie przy ul. Chopina 28. To był przedwojenny budynek, parę kroków od stadionu. W sąsiedztwie, gdzie dziś stoi hotel Victoria był zakład kamieniarski. Nie było też tych stojących dziś za hotelem budynków, więc kiedy na stadionie zawarczały motocykle, było je świetnie słychać. Tym bardziej, że warkot rodzimego, produkowanego w latach 50-tych FISa był nieprzeciętnie donośny. Słyszając ten charakterystyczny huk biegło się na stadion zobaczyć co tam się dzieje. Stadion był w tym samym miejscu co dzisiaj, ale wyglądał zupełnie inaczej. Tor był czarny, drewniana trybuna miała szerokość dzisiejszego zadaszenia, pozostała część trybun stanowiły wały ziemne.

W którym roku po raz pierwszy zawitał Pan na stadion żużlowy?

Nie potrafię tego określić, bo też nie były to systematyczne wizyty. Na zawody można było wejść tylko pod opieką kogoś dorosłego, więc początkowo były to jakieś treningi. W latach 50-tych funkcjonowała sekcja LPŻ-tu. Kiedy chodziłem do podstawówki były lata, że żużla w Lublinie w ogóle nie było, a potem wrócił w Motorze. W latach 60-tych zacząłem już chodzić na żużel regularnie. Jako ciekawostkę mogę wspomnieć, że w domu, w którym mieszkam przy ul. Chopina 28 urodził się Jacek Ziółkowski, dziś menadżer lubelskiego klubu. Dziadek Jacka, pan Piotr, miał na strychu kamienicy warsztat, w którym wytwarzał zabawki sprzedawane na straganach odpustowych. To były piłki klejone z dętki, takie



piłeczki na gumce, a przede wszystkim balony, z którymi pojawiał się na różnych imprezach. Pamiętam, że miał taki kij, na końcu którego nałożona była główka kalarepy lub innego wazywa a w nią były powbijane druty, do których uwiązane były balony. Moi rodzice wyprowadzili się z domu przy ul. Chopina 28 w 1959 r. W tym samym roku urodził się Jacek Ziółkowski, więc wtedy nie mogliśmy się spotkać, ale po latach zgadaliśmy się, że pochodzimy z tej samej kamienicy. Takie to były moje żużlowe początki.



FOTO: Z archiwum Stanisława Szalaka.

A jak rozpoczęła się Pana przygoda z fotografią?

Z fotografią zaznajomiłem się w szkole średniej. W technikum chemicznym było kółko fotograficzne i ciemnia. Swojego aparatu nie miałem, bo to były drogie rzeczy a w domu było biednie. Rodzice byli nauczycielami, mam dwoje młodszego rodzeństwa, więc ich pensje nie starczały na wiele, ale wyprowadzili nas na ludzi. Wiele lat później, kiedy się ożeniłem, kiedy urodziły nam się dzieci, wróciłem do fotografii. W naturalny sposób chcieliśmy uwiecznić nasz wspólny rodzinny czas i chyba w 1973 albo 1974 r. kupiłem od kolegi z pracy aparat. To był dobry jak na tamte czasy sprzęt - PRAKTICA super TL. Zacząłem robić rodzinne zdjęcia. Nie miałem jeszcze pomysłu, by fotografować żużel. Bodaj w 1975 r. wybraliśmy się z żoną na dwutygodniowe wczasy do Gdyni. Chciałem pokazać żonie Gdańsk, którego nie znała, bo pochodzi z gór. Ja natomiast poznałem to miasto odbywając w IV klasie szkoły średniej praktyki w tamtejszej fabryce kwasu siarkowego. Zwiedzaliśmy więc Trójmiasto, ale znaleźliśmy też czas, by pójść na zawody żużlowe na stadionie gdańskiego Wybrzeża. Tam zobaczyłem, że ktoś sprzedaje żużlowe zdjęcia. Co więcej dostrzegłem na nich również lubelską drużynę. Myślę sobie, trzeba spróbować. Nie miałem żadnego tytułu do wejścia na płytę stadionu, więc próbowałem robić zdjęcia przez bandę. Wreszcie ktoś z robiących zdjęcia powiedział mi „Słuchaj, załóż aparat na szyję i wchodź na pewniaka”. Wtedy nie było jeszcze kamizelek dla fotoreporterów czy akredytacji. I rzeczywiście, tak zrobiłem. Udało się i tak w 1978 lub 1979 r. fotografowałem pierwsze zawody stojąc już na płycie stadionu, wewnątrz toru. Wszystkiego trzeba się było nauczyć, bo okazało się, że zrobić ostre zdjęcie jadącym zawodnikom to nie takie proste. Potem trzeba było te zdjęcia wywołać i zastanowić się jak tę pasję sfinansować, bo papier fotograficzny czy chemikalia kosztują. W domu miałem już wszystkie urządzenia do czarno-białej fotografii, powiększalnik, suszarkę. Zacząłem robić odbitki i sprzedawać je podczas meczów. Raz, drugi. Okazało się, że był popyt i warto to robić. Potem namówiłem jeszcze do fotografowania żużla kolegę z pracy, Miecia Bielaka. I tak przez lata we dwóch robiliśmy te zdjęcia i razem też skończyliśmy je robić, wcale się na to nie umawiając. Zaważyło

na tym moje zdrowie i zdrowie żony, którą się opiekuję. Zadzwoiłem do red. Adama Zająca z Tygodnika Żużlowego, z którym współpracowałem od początku jego istnienia i powiedziałem, że „przechodzą na emeryturę”. Fotografowałem też na zamówienia, bo ktoś tam w żużlowej centrali dostrzegł, że to co robię ma ręce i nogi, więc dostawałem akredytacje na różne poważne zawody z podkomisji ds. dokumentacji i statystyki przy Głównej Komisji Sportu Żużlowego. Po sezonie te zdjęcia można było obejrzyć na wystawach towarzyszących uroczystemu podsumowaniu sezonu, których organizatorem był aktualny drużynowy mistrz Polski. Pamiętam takie trzy lata z rzędu zjazdu w Rydzynie koło Leszna, gdzie dekorowano zawodników medalami, wręczano puchary a przy okazji można było obejrzyć zdjęcia moje i moich kolegów.

Podliczał Pan kiedykolwiek, ile tych zdjęć było?

Nie, ale jest tego trochę. Wszystkie negatywy mam do dzisiaj i co jakiś czas okazują się potrzebne, by ilustrować różne publikacje książkowe, choćby przygotowywany przez Wiesława Dobruszka wielotomowy „Żużlowy leksykon ligowy”.

Znany bydgoski fotograf Jarosław Pabijan zawsze podkreśla, że jest Pan dla niego mistrzem w tym fachu. Pan miał na kim się wzorować?

Rzeczywiście Jarek, przy każdej okazji podkreśla, że jest moim uczniem. Podczas finału Indywidualnych Mistrzostw Polski w 2024 r. Jarek zaprosił mnie i Miecia Bielaka, i urządził nam w biurze prasowym benefis. Zebrał wszystkich fotografów, poprosił o ciszę i powiedział, że jest tu dwóch takich panów, którym chciałby złożyć podziękowania za całokształt. To miłe. Kiedy zaczynałem robić zdjęcia na zawodach żużlowych do wszystkiego musiałem dochodzić sam. W Lublinie nie było nikogo, kto zajmowałby się taką fotografią. Czasem jakieś zdjęcia robił ktoś z Kuriera Lubelskiego, Sztandaru Ludu czy fabryczny fotograf z FSC, która była patronem klubu, ale przy ówczesnej metodzie druku tych zdjęć w gazetach nie dało się oglądać.

Co było najtrudniejsze

w fotografowaniu speedway'a?

Dziś aparaty cyfrowe niemal myślą za robiącego zdjęcia. Wszystko ustawia się automatycznie. Wtedy najważniejsze było dobrać odpowiednią



FOTO: Z archiwum Stanisława Szalaka.

czułość filmu a w Polsce nie było na tyle czułych filmów, by robić na nich zdjęcia w ruchu. Żeby zdjęcia były ostre trzeba było ustawić czas otwarcia migawki przynajmniej 1/250 sekundy. Do tego odpowiednia przesłona, im mniejsza tym większa głębia ostrości. Na stadionie w Lublinie stawałem w miejscu, gdzie zwykle stoi piłkarska bramka, dzięki czemu nikt mi nie zasłaniał toru i miałem do dyspozycji w jednej odległości mniej więcej cały wiraż. I tak się te zdjęcia robiło. Przez długi czas na klasycznym aparacie. Potem miałem Nikona, który sam ustawiał ostrość, co było już dużym ułatwieniem. Gdy przeszedłem na emeryturę kupiłem cyfrowego Nikona, ale dużo zdjęć nim nie zrobiłem, bo w 2020 r. na zawodach Speedway Of Nations w Lublinie zakończyłem fotografowanie żużla.

Zdarzyło się panu podczas wywoływania zdjęć odkryć na nich coś, czego się Pan nie spodziewał?

Przed wywołaniem każde zdjęcie jest na swój sposób zagadką, bo zastanawiamy się choćby czy będzie ostre. Kiedyś zaskoczyło mnie zdjęcie zrobione w Ostrowie podczas spotkania miejscowej drużyny z Krosnem, w którym jeździł wtedy Jerzy Głogowski. Na wyjściu z drugiego łuku Jurek szczepił się motocyklami z Przemysławem Brucheiserem, z czego wynikała duża kotłowanina na środku prostej. Strzeliłem wtedy jedno ostre zdjęcie. Kiedy je potem oglądaliśmy, aż trudno było uwierzyć, że Jurek wyszedł z tego cało. Motocykl fruwał w górze, on w dole z nienaturalnie wykręconą głową. Innym razem na zawodach o młodzieżowe mistrzostwo Polski uchwyciłem w kadrze wypadek, w którym uczestniczyli trzech zawodników, a wśród nich Adam Skórnicki i jeżdzący jeszcze wtedy w Motorze Robert Dados. Na zdjęciu widać jak leszczynian wyrzucony z motocykla leci ponad podniesioną taśmą startową. To zdjęcie Wiesław Dobruszek opublikował potem w książce o Adamie Skórnickim. Robiąc je nie wiedziałem jaki będzie efekt. Cała rzecz w tym, by znaleźć się we właściwym miejscu, czasie i zdołać to uchwycić w kadrze.

Jak radził Pan sobie, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z dostępnością materiałów fotograficznych?

Wszystko było trudnodostępne. Papier fotograficzny kupowało się na zapas w sklepie mieszczącym się w nieistniejącej już kamienicy przy ul. Kołłątaja. Drugi sklep fotograficzny był

na ul. Lubartowskiej. Podobnie były z filmami. Człowiek dowiadywał się, kiedy będzie dostawa i kupował cały karton. Dostępne były rosyjskie, ale bardzo słabej jakości. Dobre były filmy orwowskie, ale nie było wśród nich wysokoczułych. Potem Polska kupiła licencję od brytyjskiej firmy Ilford i w Bydgoszczy w Zakładach Fotochemicznych Foton produkowano filmy o czułości 400 ASA. Wtedy to była niebotyczna jakość, dziś czułość określa się nawet w tysiącach jednostek. Do zdjęć zaprzęga się obróbkę komputerową, sztuczną inteligencję

Wtedy liczył się bardziej instynkt fotografa?

Oczywiście. Dziś, kiedy ma się aparat z dużą kartą, można tych zdjęć narobić nie wiadomo ile, a potem okazuje się, że $\frac{3}{4}$ z nich jest do wyrzucenia. Wtedy, kupując film miało się do wykorzystania 36, a jak się dobrze założyło 38 klatek, więc trzeba było umieć tym gospodarować. Fotografując na prezentacji 16 zawodników, potem drużyny, przeszło połowa filmu była już prawie wykorzystana. Robiąc ujęcia akcji na torze nie można było za bardzo szaleć. Segregowało się te kadry w głowie i to mi pozostało już do końca mojej pracy. Wiem, że Mietek podobnie jak ja oszczędnie gospodarował materiałami. Jak była duża impreza, to wykorzystywaliśmy dwa filmy. Przy mistrzostwach świata, gdzie w przeddzień był jeszcze dostępny trening, nawet cztery. Starałem się nie robić zdjęć zawodników po kraksie, by nie pokazywać ich cierpienia. Raz jeden zrobiłem zdjęcie Jurkowi Mordelowi po upadku na torze w Gdańsku, siedział na torze, krew lała mu się z nosa. Fotografując widziałem różne kraksy. Byłem świadkiem upadku Bogusia Nowaka, po którym musiał usiąść na wózku inwalidzkim. Dziś, choć wciąż jest dużo kontuzji żużel jest bezpieczniejszy. Nim zacząłem fotografować byłem też świadkiem śmiertelnej kraksy Tadeusza Tkaczyka. Aby pójść na te zawody 3 maja 1966 r. zbajerowałem wychowawcę w technikum, bo lekcje były po południu. Pamiętam, że w trzech wchodzili w łuk i dla Tkaczyka zabrakło miejsca. Uderzył głową w bandę, która była wtedy zrobiona z desek. Zmarł po kilku dniach w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Wspomnienia tych wszystkich zdarzeń noszę w sobie i w moich notesach, w których od 1965 r. zapisywałem wyniki. Nigdy nie kupowałem programów zawodów. Kiedy zacząłem fotografować, tym bardziej nie

sposób było robić zdjęć i jednocześnie wypełniać program na murawie stadionu. Wystarczały mi moje notesy. W najstarszym mecz z Unią Leszno z 1965 r. a w składzie Motoru: Wiesław Kowalski, Leszek Kokalski, Andrzej Jendrej, Andrzej Grudzień, Leszek Próchniak, Tadeusz Tkaczyk. W ostatnim z 2020 r. zawody młodzieżowe na motocyklach 250 cm³ i stawiający pierwsze żużlowe kroki Oskar Paluch, Kewin Małkiewicz, Franciszek Karczewski, Antoni Mencil, Oskar Hurysz.

Skoro jesteście przy zawodnikach, jak wyglądał z nimi współpraca? Dostrzegali wartość dokumentalną pana Pracy?

To zależy od zawodnika. Niektórzy mieli albumy, do których wklejali nie tylko zdjęcia, ale i wycinki z gazet. Byli tacy, którzy prosili, bym zrobił im jakieś szczególne ujęcie, choćby, gdy jadą na jednym kole. Zdarzało się, że na ich prośbę fotografowałem ich prywatnie, stąd m.in. robiłem zdjęcia na ślubie Andrzeja Gąbki czy Darka Fornala.

Miał Pan wśród nich swoich ulubieńców?

Na pewno trzeba wspomnieć Hansa Nielsena. Gdy trafił do Lublina, powiało innym światem. Przede wszystkim jednak to jest bardzo porządny człowiek. Żadnego gwiazdorstwa. Normalny a jednocześnie wyjątkowy. Zrobiłem mu dużo zdjęć. Pamiętam, że każdą ich ilość kupował ode mnie Andrzej Bronisz, grający w zespole Topsy Train. Gdy Hans zaczął jeździć w Motorze, Andrzej był sanitariuszem podczas spotkań żużlowych. Podobno dla Hansa nauczył się angielskiego, by móc z nim porozmawiać, a gdy Hans przestał jeździć, przestał chodzić na żużel. Tak wielkie i pozytywne budził emocje, Równie wiele razy fotografowałem Marka Kępę. To był pedancik. Zawsze musiał mieć czyściutki sprzęt, zawsze dbał o to, by dobrze wyglądać. Nie wiem, czy pan pamięta, kiedyś przywiózł z Anglii taką charakterystyczną czapeczkę zszywaną z trójkątów w pomponem, którą ktoś mu ukradł. Jako jeden z pierwszych miał kolorową, efektowną skórę, odróżniającą go od innych polskich zawodników. Niebieską z białymi pasami i czerwonymi gwiazdkami. Co ciekawe, potem ten kombinezon Marka został rozpruty, została z niego zrobiona matryca i w lubelskich Zakładach Przemysłu Skórzanego na ul. Kunickiego szyto skóry, w których jeździły drużyny z Lublina, Rzeszowa i Tarnowa. Od tego momentu żużlowe zespoły zaczęły rzeczywiście



przypominać drużyny, co akurat nam fotografom trochę utrudniało życie, bo kiedy każdy z zawodników miał swoją skórę łatwiej było ich rozpoznać. Wracając do Marka, zawsze bardzo dobrze nam się rozmawiało, więc kiedyś na prośbę red Adama Zająca przeprowadziłem z nim wywiad do Tygodnika Żużlowego. Dobry kontakt miałem też z Darkiem Ślodziem, który w pewnym momencie

FOTO: Z archiwum Stanisława Szalaka.

odszedł do Wrocławia, ale gdyby tego nie zrobił, nie osiągnąłby tego co osiągnął.

Fotografowanie sportu nieodłącznie wiąże się z podróżami.

To prawda, jeździliśmy wtedy z Miciem autobusami PKS a najczęściej pociągami. Pieniądze, które zarobiliśmy na sprzedaży zdjęć na stadionie, sprawiały, że nie musieliśmy dodatkowo obciążać domowego budżetu. Idealnie było, gdy udało się zabrać na mecz klubowym autokarem razem z lubelską drużyną. To był Autosan wyposażony z przodu w 16 foteli, za którymi była przegroda a tam stojaki na motocykle. Kiedy trenerem był Witek Zwierzchowski, nie było z tym problemu. Taka podróż z zespołem zawsze trochę trwała, więc zdarzało się, że sięgałem po zdjęcia i dla zabicia czasu chłopaki je oglądali. Czasami Witek coś na nich wypatrzył i wołał, któregoś z zawodników i sztorcował dostrzegając jakieś niedoskonałości. Co ciekawe, Witek miał taki przesąd, że nie pozwalał przed meczem drużynie pozować do zdjęcia. Porównywał to do lotników, którzy nie pozwalają fotografować się przed startem. Stąd na zdjęciach z tamtych czasów drużyna Motoru to najczęściej ujęcie zawodników ustawionych do prezentacji, ale nie wspólnie pozujących. Podobną zasadę wyznawał trenujący krótko zespół LKŻ Lublin Stanisław Skowron. Cóż, w żużlu wiele osób ma swoje przyzwyczajenia i przesady. Jedni przywiązują się do koloru rękawiczek, inni wsiadają na motocykl tylko z jednej strony. Wracając do naszych podróży po Polsce - z czasem prawie w każdym mieście był ktoś, kto podobnie jak my robił zdjęcia. Rodziły się z tego autentyczne przyjaźnie. Nie było problemu z noclegiem. W Gorzowie nie raz nocowałem u śp. Mirka Wieczorkiewicza, w Bydgoszczy u Wieśka Ruhnkego, Miałem też kolegę w Ostrowie, a stamtąd było już blisko do Leszna czy Gniezna. W Częstochowie korzystałem z uprzejmości rodziny.

Z podróżami muszą wiązać się liczne wspomnienia.

Trudno wrócić do nich tak na poczekaniu. Dzięki Bogu, naszym wyprawom nie towarzyszyły dramatyczne sytuacje, choć jeden raz było naprawdę blisko. W 1991 r. pojechałem do Torunia na finał Młodzieżowych Indywidualnych Mistrzostw Polski, gdzie startował Marek Muszyński. Dotarłem tam pociągiem, ale na stadionie zapytałem lubelską ekipę, czy mogą

zabrać się z nimi w drogę powrotną do domu. Okazało się, że muszą jeszcze wracać do hotelu, w którym nocowali, więc postanowiłem jednak wracać pociągiem. Gdy dotarłem do Lublina dowiedziałem się, że chłopcy mieli wypadek, który Jurek Zgierski i Maciek Maj okupili urazami kręgosłupa. To taka przykra historia, która mnie ominęła, ale oczywiście były też weselsze zdarzenia. Kiedyś wybraliśmy się z Mietkiem na zawody do Częstochowy. Na dworzec dotarłem prosto z pracy po nocnej zmianie. Pomyślałem, że zdrzemnę się w pociągu. Kiedy się przebudziłem zobaczyłem, Mietek, który miał czuwać też drzemie i właśnie minęliśmy Częstochowę. Co było robić? Hamulca przecież nie zerwę. Pociąg był pośpieszny więc nim zatrzymał się w Lublińcu przejechał jeszcze około 40 km. W międzyczasie zjawił się jeszcze konduktor, który na szczęście potraktował nas ulgowo i nie wlepił mandatu, a nawet sprawdził nam na rozkładzie połączenie do Częstochowy. W ten sposób z przygodami zdążyliśmy na zawody.

Oprócz dokumentowania zawodów żużlowych próbował Pan również innej fotografii?

Staralem się troszeczkę fotografować te miejsca Lublina, które już dziś nie istnieją. Na ul. Skłodowskiej, gdzie stoi dziś budynek teatru znajdowały się domki w stylu dworowym nazywane przed wojną kolonią oficerską. Przy ulicach Uniwersyteckiej i Grottgera stały cztery takie domki, fotografowałem je przed wyburzeniem. Do dziś przetrwał z nich tylko jeden. Drugim takim miejscem, które starałem się uwiecznić przed przebudową było skrzyżowanie ulic Narutowicza i Okopowej. Kiedyś to miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Interesuję się trochę historią naszego miasta i była we mnie chęć zatrzymania na fotografii tego Lublina, który już przeminął.

Zagłada Pan jeszcze na stadion?

Troszkę brakuje czasu, bo zajmuję się żoną, domem, cieszę się dziećmi i wnukami. Żużel oglądam już tylko w telewizji, ale nie narzekam, bo w telewizji często więcej widać.

Panie Stanisławie, dziękuję za rozmowę
Było mi bardzo miło.

RZECZY POMIESZANIE

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,
ale zawsze prawdziwych...

ADAM PRZYSTUPA

Bartitsu to XIX-wieczny system samoobrony praktykowany m.in. przez Sherlocka Holmesa.

Jego wspomnienie pojawia się w opowiadaniu „Pusty dom”, kiedy słynny detektyw wyjaśnia w jaki sposób uszedł cało ze spotkania z prof. Moriarty’em, choć Artura Conan Doyle mylnie użył określenia „baritsu”. Twórcą bartitsu był angielski inżynier Edward William Barton-Wright, jeden z pierwszych Europejczyków, który podczas trzyletniego pobytu w Japonii uczył się jujitsu. Po powrocie do Anglii w 1898 r. zaprezentował opracowany przez siebie system samoobrony korzystający z technik jujitsu, boksu, szermierki oraz francuskiej sztuki walki savate i canne de combat (walka przy użyciu laski). Bartitsu było sztuką walki dla gentelmentów wykorzystującą używane przez nich przedmioty, stąd techniki uderzeń cylindrem, parasolem czy laską. Choć popularność bartitsu szybko przeminęła, jego twórcę traktując się jako jednego z pierwszych popularyzatorów dalekowschodnich systemów samoobrony w Europie, oraz pioniera mieszanych sztuk walki.



Zgarbkowate to rodzina owadów o fantazyjnie ukształtowanej przerośniętej tarczy grzbietowej, która oprócz swego wyglądu przyciągają uwagę sposobem komunikacji. Zamiast polegać na dźwiękach rozchodzących się w powietrzu, wysyłają sygnały mechaniczne przez łodygi, liście i gałęzie roślin, na których żerują. Zgarbki wytwarzają drgania dzięki szybkim skurczom mięśni odwłoka i tułowia. Powodują one mikrowibracje przenoszone na odnóża, a następnie do tkanek rośliny. Sygnał może być odbierany przez innego osobnika (za pomocą mechanoreceptorów w odnóżach) znajdującego się nawet kilka metrów dalej na tej samej roślinie. Każdy gatunek zgarbków posiada charakterystyczny „podpis” sygnału – określoną częstotliwość, długość impulsów i rytm.

Elizabeth Siddal pozowanie do słynnego obrazu przedstawiającego „Ofelię” przepląciła zdrowiem. Dzieło inspirowane śmiercią bohaterki „Hamleta” namalował w latach 1851-1852 należący do tzw. Bractwa Prerafaelitów John Everett Millais. Malarz najpierw przez cztery miesiące malował z natury tło sceny kopiując obraz przyrody nad brzegiem rzeki Hogsmill w Surrey, po czym zaprosił do współpracy Elizabeth, muzę, kochankę a następnie żonę jego przyjaciela, poety i malarza Dante Gabriela Rossetiego. Modelka pozowała godzinami leżąc ubrana w suknię w wypełnionej wodą wannie ustawionej w pracowni Millaisa. Wannę podgrzewano lampami naftowymi, ale podczas jednej z ostatnich sesji malarz pochłonięty pracą zapomniał to uczynić. W efekcie Siddal przepląciła to ciężką chorobą, najprawdopodobniej zapaleniem płuc. Od tego czasu przewlekle kłopoty zdrowotne modelki i malarka próbował łagodzić zażywając laudanum, popularny wówczas, ale uzależniający środek przeciwbólowy zawierający opium. Laudanum, które przedawkowała 10 lutego 1862 r. Słynny obraz, który zaważył na losach Elizabeth sparafrazował w 1995 r. reżyser Rocky Schenck tworząc teledysk do piosenki „Where the Wild Roses Grow” duetu Nicke Cave i Kylie Minogue.

W XIX stuleciu istniała moda na sprowadzanie do nowożytnych stolic staroegipskich obelisków, które do dziś stanowią trwałe elementy ich krajobrazu. W 1836 r. sprowadzono do Paryża liczący 23 m wysokości obelisk ze świątyni Ramzesa II w Luksorze, który umieszczono na Placu Zgody. W 1878 r. w Londynie nad Tamizą a w 1881 r. w nowojorskim Central Parku umieszczono dwa wysokie na 21,2 m obeliski zwane Igłą Kleopatry poświęcone w Heliopolis przez Totmеса III i noszą inskrypcje poświęcone jemu i Ramzesowi II (panującemu ok. 1279– ok. 1213 p.n.e.).

Melody. Czy mając takie imię można pozostać obojętnym na bogactwo otaczających nas dźwięków? Można, bo wbrew temu co gdzieś tam można usłyszeć nasze imię w żadnym sposobie nie determinuje naszego charakteru czy życiowych wyborów. Niemniej Melody Gardot czyni swemu imieniu zadość. Kiedy przychodziła na świat w jej domu spodziewano się chłopca. Zaskoczona mama dwa dni rozmyślała nad imieniem dla córki. Ponieważ śpiew był najlepszą metodą na uspokojenie rozrabiającej w łonie matki dziewczynki wybór padł na Melody.

Czy można być obojętnym na piękno? Zapewne, choć pewnie każdy z nas postrzega je inaczej. Melody odkrywa je we wspomnieniach głosu swej mamy, która choć nigdy nie była za-

sadzała Melody przed telewizorem, by ta oglądała „Czarnoksiężnika z Oz”. Tam zaś mała Dorotka wyśpiewywała swoje życzenie do spadającej gwiazdy. Marzenie o krainie ponad tęczę, gdzie kłopoty rozplývają się jak cytrynowe landrynki. Marzenie zapewne nieobce wielu z nas, a na pewno nie obce dziewiętnastolatce staranowanej przez jeepa, która ledwo uszedłszy z życiem słyszy od lekarzy, iż najbliższe półtora roku spędzi leżąc na plecach i nigdy nie będzie już chodzić. To właśnie spotkało Melody przemierzającą rowerem ulice Filadelfii. A może, w takiej sytuacji ów wers z filmowej piosenki zda się czymś nie stosownym, niedorzecznością? Chyba jednak nie, jeśli wiąże się ze wspomnieniem babci, która w pamięci Melody zapisała się jako słodka, ale

Śpiewem ukołysana

wodowym muzykiem wypełniała ich dom śpiewem. Od jazzowych standardów w stylu „Bye, Bye Blackbird” czy „Summertime”, przez folkie podsyte piosenki Boba Dylana, po twórczość Carol King i przeboje The Mamas and the Papas. Kiedy Melody opowiada, jak mama uczyła ją harmonizować śpiewając z nią drugim głosem można się tylko domyślać, iż właściwe ku temu były piosenki tej kalifornijskiej grupy wokalne. Skąd pomysł na takie zabawy? Pewnie stąd, iż pani Gardot nie tylko nosiła pod sercem Melody, ale melodie miała zapisane w genach. Jak wspomina jej utalentowana córka: „Wszyscy w mojej rodzinie po stronie matki byli muzycznie uzdolnieni. Wywodzę się z rodziny utalentowanych muzyków. Mój pradziad był dyrygentem w Polsce, ale występował też w innych krajach Europy. Moja babka miała panieńskie nazwisko Majewska. Jestem melanzem wielu różnych narodowości – francuskiej, czeskiej, austriackiej i polskiej.”

Pamięci polskiej babci Melody zwykła dedykować na koncertach swoją zanurzoną w sambie wersję piosenki „Somewhere, Over the Rainbow” z repertuaru Judy Garland. Nieprzypadkowo. Babcia, wspierająca w wychowaniu dziewczynki jej pracującą na trzech etatach mamę, kiedy już nie wiedziała co z nią począć,

mocna kobieta. Tej babcinej twardości było jej wtedy potrzeba. Twardości i czegoś jeszcze...

Lista urazów była długa. Złamany kręgosłup, potrząskana miednica, rozległy uraz głowy skutkujący utratą mowy i pamięci. Te ostatnie wracały bardzo powoli. Z pomocą przyszła muzyka. Kiedy jeden z opiekujących się nią lekarzy szukając czegoś, co pomoże przetrwać długie miesiące leczenia rzekł, iż najważniejsze, by znalazła coś, co ją uszczęśliwia, jej mama przypomniała, że Melody grała na pianinie. Mając dziewięć czy dziesięć lat była pilną acz niesforną uczennicą (W jednym z wywiadów wspomina jak nauczyciel się na pamięć jednego z utworów Czajkowskiego szybko się nim znudził i ku utraپieniu nauczyciela poczęła improwizować dodając doń własne nuty. Nie mogła przy tym pojąć, dlaczego nie wolno jej zmieniać klasycznej kompozycji). Mając lat szesnaście zaczęła dorabiać sobie grając za napiwki w czwartkowe i piątkowe wieczory w jednym z filadelfijskich barów. Nie wiązała jednak swej przyszłości z muzyką. Bardziej zajmowały ją malarstwo i projektowanie mody, które studiowała w Community College. Teraz muzyka miała do niej wrócić w nieoczywisty sposób. Zrazu wydawała się niedorzecznością, ekstrawaganckim pomysłem lekarza.

FOTO: Melody Gardot. Uniwersal Music Polska.



Jak wrócić do muzyki, kiedy z bólu nie sposób usiąść za klawiaturą? Melody nauczyła się grać na gitarze leżąc na placach. Z miłości do muzyki? Raczej z przemożnej chęci, by znów stanąć na nogach i by znów móc wzuć na stopy szpilki. Dziś sama przyznaje, że w jej sytuacji brzmiało to głupio i śmiesznie, ale tak właśnie było, a terapia muzyką miała być tylko droga do celu.

Pierwsze próby nucenia a potem śpiewania miały służyć też ćwiczeniu mowy a potem przyszedł etap składania pierwszych własnych wersji, które powoli ćwiczyły poranioną pamięć. Aż pewnego dnia, jak wspomina, po prostu napisała pierwszą piosenkę. Nieoczekiwanie dla samej siebie. Z dziecięcym zadziwieniem – a więc to wygląda w ten sposób? Zadziwieniem, które dziś mimo wydania już kilku autorskich płyt pozostaje niezmiennie. W wywiadzie jakiego udzieliła periodykowi „Jazz Forum” przed swoim pierwszym występem w Polsce w 2009 r. opowiadała „Jeśli chodzi o komponowanie, to są dwa rodzaje ludzi. Są tacy, co piszą niemal podświadomie, mimo woli i są tacy, co pracują nad swoimi utworami całymi dniami, spędzają długie godziny w studiu, mozolnie cyzelują szczegóły, poprawiają. A ja siadam, krzyżuję ręce na piersi i czekam. I nagle czuję coś w szyi. Jak błysk światła pojawia się melodia i pojawiają się słowa – jednocześnie. A ja tylko staram się to dogonić, żeby nie uciekło. Trochę głupio się czuję, kiedy widzę swoje nazwisko na okładce płyty pod tymi utworami. Jak mogę się pod tym podpisać, skoro to po prostu przyszło! Czuję, jak by to przyszło skąd indziej, sama nie wiem skąd.”

W ten sposób rodziły się pierwsze piosenki, które w 2005 r. znalazły się na wydanej własnym sumptem EP-ce „Some Lessons: The Bedroom Sessions”. Płyta zagościła na antenie akademickiego radia WXPB przedstawiając Melody Gardot światu. Rok później nagrała swoją debiutanką dużą płytę „Worrisome Heart”, która niemal wyprzedzała się w dniu swej premiery. Dobrze przyjęli ją też krytycy. Pojawiły się porównania do Norah Jones czy Madeleine Peyroux. Jak to bywa, znaleźli się też malkontenci, purysci



gatunku utyskujący, iż to co proponuje Melody Gardot to nie czysty jazz, co mnie, nieznanemu na co dzień w tym uniwersum akurat nie przeszkadza. Otwierająca płytę, tytułowa piosenka o zatroskanym sercu podszyta jest pełnym zmysłowości, ale i tęsknoty bluesem („Miałabym szczęście, gdybym znalazła mężczyznę. Który pokochałby mnie taką, jaka jestem. Ze wszystkimi moimi kłopotliwymi słabościami”). Jej słonecznym, rewersem również wyrastającym z bluesa granego na gitarze techniką slide jest „Sweet memory”. Mieszaniną jazzu i bluesa jawi się porywające refrenem „Quiet Fire”, powiew swingu wnosi zaś radosne „All That I Need Is Love”, gdzie posiłkująca się scatem piosenkarka współgra z uwodzającym brzemieniem klarнету. Kto szuka jazzowych brzmień w odcieniach księżycy odnajdzie je w „Love Me Like a River Does” i „Goodnite”. Melody udowadnia, że równie dobrze czuje się pisząc ballady. W rozmarzonej, kameralnej „Gone” urzekająco zestrza brzmienie skrzypiec z tekstem piosenki („Nie znajdę słów, bo powiedziałam już wszystko. Nie znajdę słów, bo wiem, że je odrzucisz. Bo do tego czasu zdążyś odejść”). W pełnej refleksji „Some Lessons” powraca do własnych, bolesnych doświadczeń:

„Pamiętam odgłos chodnika. Świat obrócił się do góry nogami. Ulice puste, w pobliżu ani żywej duszy, życie przelatuje przed oczami. Gdy o tym pomyślę, wydaje się, że spotkało mnie wiele dobrego” Dla wielu ta piosenka stanowiła liryczne serce albumu zasilające w kontekst pozostałe utwory. Dzięki temu nie sposób było je traktować niczym li tylko błahe piosnki o miłości. Niemniej, na zimnym, wyrachowanym muzycznym rynku pojawiły się też głosy, iż „to jeden z tych albumów, w których historia powstania płyty jest ciekawsza niż ona sama”. Mylny to trop, bo muzyka Melody Gardot, nie potrzebuje posiłkować się współczuciem. Broni się sama.

Dość powiedzieć, że kiedy Beth Hart i Joe Bonamassa dobierali utwory na ich wspólne płyty „Don’t Explain” i „Seesaw” z klasykami bluesa i soulu, sięgnęli po kompozycje Gardot. „Your Heart Is as Black as Night” i „If I Tell You I Love

FOTO: Melody Gardot. Uniwersal Music Polska.





You” lśnią tam własnym blaskiem pośród piosenek autorstwa Billie Holiday, Etty James, Billa Withersa i Toma Waitsa. Widać Hart i Bonamassa nie czytali opinii jednej z naszych rodzimych jazzowych recenzentek, która oceniając drugą płytę Melody („My One and Only Thrill” z 2009 r.) orzekła, iż nie czas jeszcze na samodzielną twórczość i lepiej by było dotrzeć do tych, którzy „naprawdę znają się na pisaniu i komponowaniu”. Każdy rzecz jasna ma prawo do swych opinii, tyle tylko, że Melody nie pozwala się zamykać w gatunkowych ramach. „Ludzie zawsze pytają: „Dlaczego jazz?”, a ja na to: „Dlaczego nie?”. To trochę jak pytanie Seurata: „Dlaczego tyle kropek?” – opowiada odwołując się do charakterystycznego stylu malowania neoimpresjonisty. Rozmawiając o bluesie zauważa: „Jak wiadomo blues narodził się wcześniej niż jazz. Czuję, jakbym rozumiała jazz bardzo dobrze, gdyż blues jest poprzednikiem jazzu. Blues zrodził się z bólu. A ja o bólu wiem wszystko.” A potem dodaje: „Myślę, że blues jest fundamentem jazzu. Blues jest sercem i duszą jazzu.” Zanurzyła się w nim słuchając zebranych w latach czterdziestych przez Alana Lomaxa pieśni więziennych. Echo tych surowych zaśpiewów wykonywanych często jedynie przy akompaniamencie rytmicznych uderzeń młotów słychać we wstępie do „Who Will Comfort Me”. Z czasem bluesem szyta skarga („Moja dusza jest zmęczona i pobita przez nie-szczęścia. O Panie, kto mnie pocieszy?”) wyśpiewana niemal a capella zabiera nas z narastającym akompaniamentem sekcji dętej w mroczny klimat filmów noir. Tam zaś czeka wspomniane już „Your Heart Is as Black as Night”, bodaj najlepszy blues spod pióra Gardot, opisujący uwielbienie w nader ryzykowne uczucie („Może twoje usta są tak słodkie, że nie sposób im się oprzeć, ale twoje serce jest czarne jak noc”).

A może się mylę? Bo jeśli blues wyrasta z bólu, nie można zapomnieć o utworze „Preacherman”

z płyty „Currency of Man” z 2015 r. Głos Melody spleta się tu ostrymi dźwiękami elektrycznych gitar, by przypomnieć historię Emmetta Tilla, czternastolatka zamordowanego z powodów rasowych w 1955 r. w stanie Missisipi. Przemawiając ustami zrozpaczonej matki przeszukującej brzegi rzeki Tallahatchie w poszukiwaniu okaleczonego ciała swego dziecka przekonuje, że potrafi pisać nie tylko o miłości. W opowieściach o brudzie tego świata bardziej pomocne od pop-jazzowych długich pociągnięć smyków w lirycznych orkiestrowych aranżacjach okazuje się nieco duszna stylistyka soulu („She Don’t Know”) i rhythm and bluesa („Bad News”).

Gatunkowy zawrót głowy. A przecież przygoda z muzyką Melody Gardot to również odkrywanie muzyki świata. Jak sama przyznaje jest zakochana w „w muzyce Ameryki Południowej: tangu, muzyce Argentyny, muzyce Brazylii, Stanie Getzu, Bebel Gilberto”. Przyjazne duchy Jobima, Piazzolli i Gilberta Gila po raz pierwszy zagościły na jej trzeciej płycie „The Absence”, by powrócić na nagrany w okresie pandemii albumie „Sunset in the Blue” i ostatnio wydanej wspólnie z brazylijskim kompozytorem i pianistą Philippem Powellem płycie „Entre Eux Deux”. Urodzony w Paryżu Powell inspirował Melody również do flirtu z piosenką francuską, czego przykładem ich wspólne kompozycje „À La Tour Eiffel” czy „Fleurs De Dimanche”. Czy Gardot zaśpiewa kiedyś w języku swej babci? Nie można wykluczyć, bo choć jej mama nie dopilnowała, by nauczyć ją polskiego, lubi wyzwania. A słuchając „If I Ever Recall Your Face” nie można wątpić, że babcia zajmuje w jej sercu miejsce szczególne: „*W oceanie twych oczu kryje się spojrzenie, które rozpoznam. Spojrzenie, które sprawia, że tańczę poloneza. Kiedykolwiek przypomnę sobie twoją twarz.*”

FOTO: Melody Gardot. Uniwersal Music Polska.



FOTO: Beata Groen.

Śliwki pod kruszonką na pożegnanie lata

Składniki:

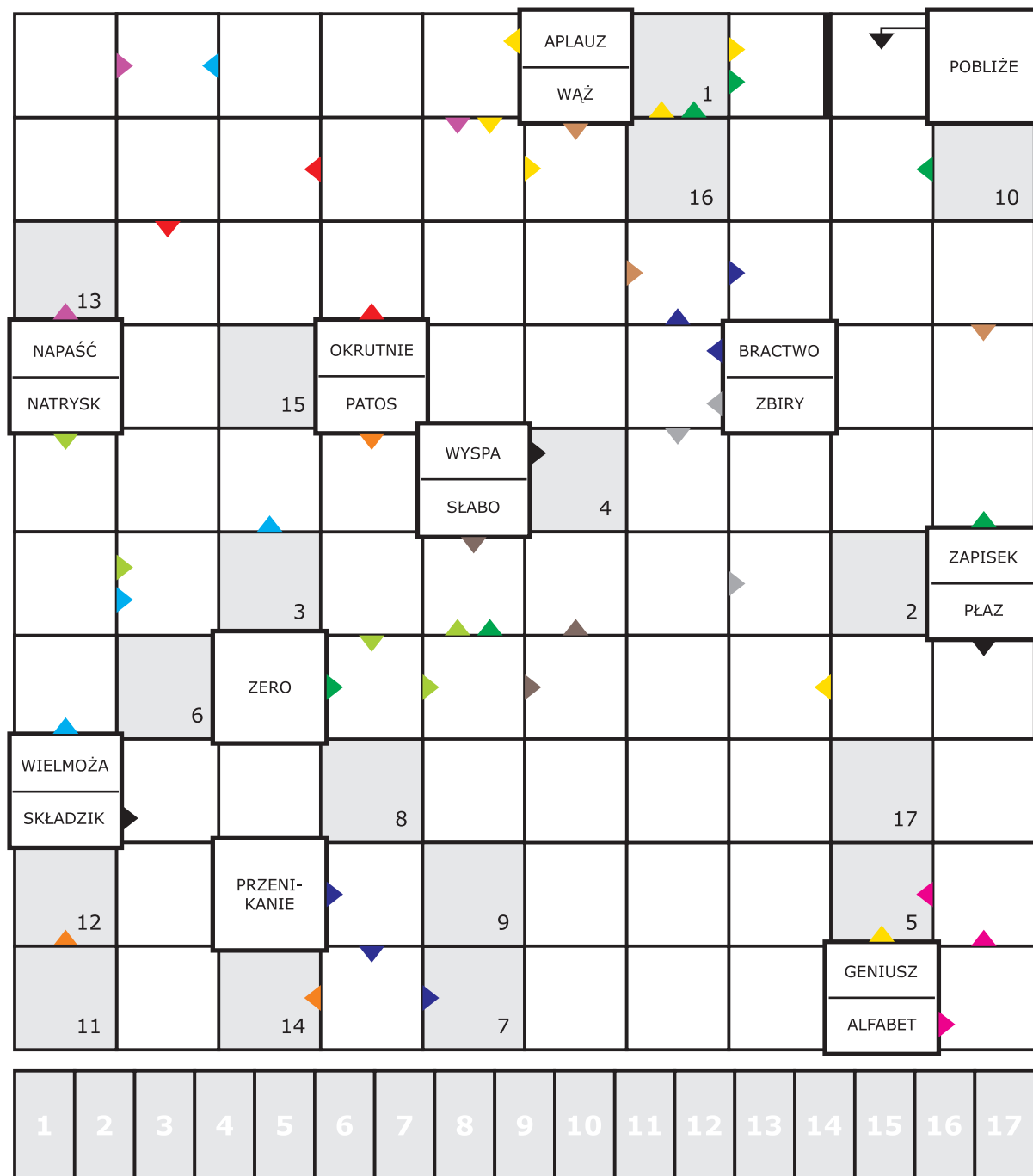
- śliwki węgierki
- kostka masła
- około 1 szklanka cukru
- ok 2 szklanki mąki
- 1 żółtko
- cukier waniliowy

Spód zagniatamy z ok ¼ kostki masła, ¾ szkl. mąki, ¼ szkl. cukru, ½ torebki cukru waniliowego, 1 żółtka, szczypty soli, ½ łyżeczki proszku do pieczenia. Wylepiamy naczynie żaroodporne i podpiekamy ok 10 min.

Śliwki przekrojone na połówki maczamy w mące ziemniaczanej i układamy skórka do dołu na podpieczonym spodzie

Z pozostałych składników – mąki, masła i cukru przygotowujemy w miseczce kruszonkę, posypujemy śliwki i pieczemy ok 45-50 min., opcja góra-dół, w temperaturze 180 stopni.

Smaczno!



Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.

Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów. Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w trzecim kwartale 2026 roku jubileusze:

10-lecie

pracy w KOM-EKO:

Wanda Pytka, Marcin Śmiałek

15-lecie

pracy w KOM-EKO:

Paweł Gęca, Jarosław Zachara

20-lecie

pracy w KOM-EKO:

Krzysztof Bors, Beata Kędzierska

30-lecie

pracy w KOM-EKO:

Dariusz Matynkowski

EKOGADKA NR 36 - JESIEŃ 2026

bezpłatny kwartalnik

Wydawca, adres redakcji:

KOM-EKO S.A., 20-234 Lublin,
ul. Metalurgiczna 9B,
tel. 81 748 86 52,
redakcja@ekogadka.pl
www.ekogadka.pl

Redaktor naczelny:

Adam Przystupa

Wydano w Lublinie

dn. 06.10.2026 r.

Skład i druk: ANSZA.pl

Nakład: 350 egz.

© Wszelkie prawa do opublikowanych tekstów, zdjęć i grafik są zastrzeżone, przedruk tylko za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam z zastrzeżeniem art. 36 ust. 4 prawa prasowego. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany artykułów, nadesłanych tekstów i odmowy ich publikacji. Opublikowane artykuły nie muszą odzwierciedlać poglądów wydawcy i redakcji. **Okładka:** Śmieciarka Kom-Eko na Felinie w Lublinie.

FOTOREPORTAŻ



FOTO: Redakcja. Zamiatarka Kom-Eko na dworcu metropolitarnym w Lublinie.